



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1,—.

Rok IX

Warszawa, 19 lipca 1953 r.

Nr 29 (399)

Tadeusz MAZOWIECKI

Refleksje lipcowe

„We Francji, w Anglii, we Włoszech dopytywano się, gdzie to jest, z której strony Bulgarii... Wygłosiła zapomniana, z jej ludem zagubionym między narodami... O to była ona, ta równinna, płaska i niska ziemia... Zaledwie przed czterdziestu laty wysłała pod pióra Stefana Żeromskiego ta cięta u zarzeczem bolesna charakterystyka zainteresowania się ówczesnego cywilizowanego świata Polską. Wyposażał w nią swego Ryszarda Nienaskiego z „Nawracania Judasz” oddarczając go na przymusową drogę z Korony do Galicji owym cierpiącym pokarmem samowiedzy narodowej. A kilka stron dalej rzuci Żeromski zda nie — symbol tej tragicznej filozofii pokolenia Nienaskich, pokolenia inteligentkiej bezsilnej zawieszanej między kapitalistyczną a proletariacką drogą ku przyszłości. — „Patrzal w ohydny los swój — żółtą błękitną w tym polskim nawozie. Czynn — ta cnaaczy spalić się jako żółtło, wespol ze wszystkim — przemienić się w ciepło, które by ogrzało tę zimną, martwą, opuszczoną ziemię”.

Takie myśli snuł Ryszard Nienaski przechadzając się po podkrakowskich wzgórzach. Rodziły się te myśli w jego głowie z obszarych nad życiem miasta — „rodzica polskiej potęg”, podówczas c.k. Krakowa, w którym trzeba było brodzić w bajorach zalegających ulice, ale w którym niczym w Berlinie albo w Paryżu jeździły wozy z walcowymi szczotkami do zmatania błota. („Ta blaga była niby nasładowaniem Europy, stawianiem się, że i my na Kleparzu jesteśmy w Europie”). Rodziły się z zażurnym nad sutereniarskim bytem robotników krakowskich, z ironią wobec galicyjskiego pokostu zasłaniającego nędzę, niesprawiedliwość i głupotę, ze smutku kraju, którego „lud po strachu wiałką rzeką płynie w poszukiwaniu „kominów”, uchodzi z ojczyzny, ażeby wykonywać wśród obcych najcięższe, najoszczędniejsze i tru”y”.

Potężna intuicja żyarska, czy węższej g'łbsze i prawidłowe wyzucie nurtu dzieju — pozwoliło jednemu Żeromskiemu przewidzieć nieznaną i dojrzeć dni, kiedy i stary Kraków osaczy fabryki i osiedla robotnicze, kiedy będą „skupiały się ludowię uchodząca z wioszczyn, dawaly bezrolnej i walwolnej nędzy w ręce pracę, zamożność, wiedzę, siłę i moc gospolną a niezgl bi-ną do walki o wszystko wydarte”. Ale dla Ryszarda Nienaskiego owe dni istniały jedynie we mgle marzeń i kiedy patrzył na współczesne mu pokolenie widział je tylko jako „nawóz dla przyszłych ludzi, dla niewiadomych polskich następców” rzucając bezsilne pytanie „Czy przyjdzie kiedy wiosna?”

Nie pierwszy Żeromski zmagal się z tym pytaniem. Jak warstwy starych drzew, które organizm przyrody przetwarzał w czarny diament węgla, tak zapadały się w mrok dziejów pokolenia ludzi, nieznanych ofejalnej historii, z których trudu i niespełnionych pragnień wstawał w ciągu wieków niezmierny skarbiec nadziei na sprawiedliwe urządzenie ojczystego domu, na lepszy świat.

Jednakże z drobnych kropeł powstaje ulewa zdolna przerwać tamy,

małe zaś strumyczki tworzą w końcu gdzies nurt potężnej rzeki. I historii rządzi się tym prawem. Murial przyjąć czas, w którym wyposażony w to święte brzemie przeszłych nadziei i siły rozbudzonej świadomością prawa do ludzkiej egzystencji ruch milionów wyzyskiwanych i upośledzonych przerwie tak mocną dotąd zaporę klasowemu panowaniu możnych i po swojemu popchnie naprzód bieg dziejów.

NIE inaczej, ale na tej właśnie fali dziejowej wyrosła Polska Ludowa. Z tego podglebia przeszłych walk, nadziei i z rozbudzonej siły dzisiejszej zrodziła się jej nowa wielkość i piękno. I nie co innego, ale ta właśnie historyczna prawidłowość — powstała z brzemiennej dziejotwórcy cierpień ludzkich i nieustannie postępującego naprzód zwycięstwa człowieka nad przyrodą i otaczającymi go stosunkami społecznymi — zapewnia nieodwracalność i wielkość społecznych przemian naszego kraju.

Jak to się bowiem stało, że nie w czasie międzywojennego dwudziestolecia, ale w okresie dziewięciu lat istnienia Polski Ludowej tamte mgliste marzenia Ryszarda Nienaskiego przemieniają się w rzeczywistość?

Jak to się stało, że nie w ciągu dwudziestu lat międzywojennych rządów zakończonych tragicznym finałem sanacyjnego „domku z kart” — ale w ciągu dziewięciu trudnych lat Polski Ludowej znikła plaga rozbieżnych pokoleń narodu polskiego — po szukanie zarobku za granicami, a na przedpolach szacownego Krakowa powstaje Nowa Huta?

Dziś wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem widać, że kierunek dziejów, ku któremu ludzkość zmierza — wyznacza nie ten stary świat, którego częścią była Polska międzywojenna. Rozsadzany sprzecznościami między kapitałem a pracą, rządzący się bezlitosnymi prawami zysku, utrwalający w imię narodów przemoc klas wyzyskujących nad własnym ludem, nad mniejszościami narodowymi i nad ujarzmionymi ludami kolonii, usiłujący ratować się faszyzmem i hitlerizmem dla celów wojny najwyżej zdołany umysłu ludzkiego — ten stary świat dławii sam siebie. Nie jest on zdolny do tego, aby stworzyć warunki sprawiedliwości społecznej, umożliwić narodom twórczy rozwój ich gospodarki i kultury i coraz pełniej

(Dokończenie na str. 2)

Wojciech WIECZOREK

Prawo do patriotyzmu

ISTNIEJE spór o prawo do patriotyzmu. W społeczeństwie klasowym prowadzi go rzecznicy poszczególnych klas i warstw społecznych starając się przekonać cały naród o słuszności reprezentowanej przez siebie koncepcji. Bezstronnym sędzią w tym sporze może być tylko wymowa konkretnych faktów. Przyjrzyjmy się im na przykładzie Polski.

Przedwojenna Polska była państwem burżuazyjnym. Jej sanacyjni przywódcy nadawali swej koncepcji odcień „mocarstwowy”, odpowiadający światoburczym mrzonkom nieśladego, rodzimego kapitalizmu i ukraińskim tęsknotom obszarników. Równocześnie ta „mocarstwowa” Polska była krajem ekonomicznie i kulturalnie zacofanym. Odznaczała się słabo rozwiniętą i opartą na przywilejach kapitału gospodarką, milionowymi rzeszami ludzi „zbędnych”, wysokim procentem analfabetów. Nie przeszkadzało to sanacji w realizowaniu samobójczej dla narodu polityki i w odsadzaniu od patriotyzmu tych Polaków, którzy się jej najmocniej przeciwstawiali. Kamieniem obrazu dla pilsudczykowskich rządów, a także dla całej burżuazyjnej opinii publicznej bez względu na odcienie, był przede wszystkim internacjonalizm radykalnej opozycji lewicowej. Wpajano w naród fałszywy pogląd, że zasady internacjonalizmu nie dadzą się pogodzić z uczuciami patriotycznymi, że internacjonalista musi być siłą rzeczy agentem obcego mocarstwa działającym na szkodę własnej oj-

czyzny. Zgodnie z tą burżuazyjną filozofią napiętnowano jako zdrajców — patriotów, członków brzdęk międzynarodowych broniących Polski przed groźbą hitlerowskiego najazdu na przedpolach Madrytu, podczas gdy oficjalni „patrioci” dokonując wspólnie z Hitlerem rozbioru Czechosłowacji, przygotowywali katastrofę wrześniową.

Wykłęty przez burżuazyjny internacjonalistyczny odłam lewicy polskiej objawiający się w lipcu 1944 roku ster rządów postawił przed narodem zadanie budowy socjalizmu. Dziewięć lat władzy ludowej stworzyło już pewien dystans pozwalający na ocenę nowej drogi, ra którą weszła Polska. Stworzyło zarazem możliwość opartej na konkretnych faktach konfrontacji dwóch przeciwstawnych koncepcji w sporze o prawo do patriotyzmu.

Nie wszyscy Polacy są socjalistami. Przystąpienie do budowy ustroju socjalistycznego mogło się im wydawać niezasadne aktualnymi potrzebami narodu i kosztownym doktrynerstwem. Doświadczenia dziejów nie pozwalają ten pogląd podać w wątpliwość. Polak - patriota nie musi urodzić się socjalistą. Ale Polak-patriota nie może nie dostrzec faktu, że dzięki polityce wewnętrznej i międzynarodowej władzy ludowej w nie spotykany u nas tempo zablizniono rany wojenne i zagospodarowano odzyskane ziemie zachodnie; że dzięki przeprowadzeniu podstawowych i nieodwracalnych reform społecznych stała się możliwa modernizacja i rozbudowa naszego

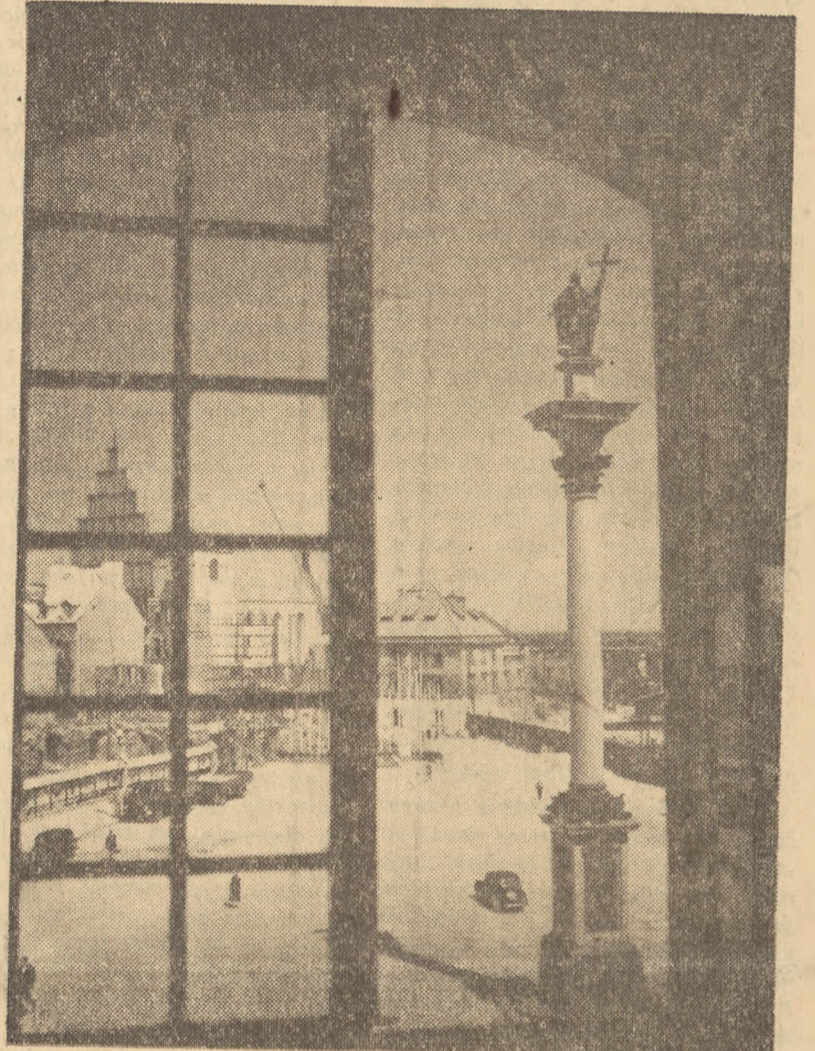
potencjału gospodarczego w mieście i na wsi, która w przeciwieństwie do „mocarstwowych” rojeń opartych na pseudopatriotycznej megalomanii narodowej i egzotycznych sojuszach, jest najpewniejszym gwarantem naszej niepodległości, naszego dobrobytu i naszego znaczenia w świecie. Polak-patriota nie może również przechodzić obojętnie wobec sprawy upowszechnienia kultury. W świetle tych faktów spór o prawo do patriotyzmu można by uznać za rozstrzygnięty. Trzeba jednak postawić sobie pytanie dlaczego wypadki minionych kilkunastu lat miały właśnie taki przebieg?

Uczucia patriotyczne zobowiązują. Aby zasłużyć na miano patrioty dojrzałego i odpowiedzialnego, nie wystarczy po prostu kochać swój kraj; trzeba również zdobyć się na wysiłek, by w sposób prawidłowy rozpoznać drogi prowadzące do jego rozkwitu. Warunkiem tej dojrzałości i odpowiedzialności jest świadomość praw, na których opiera się rozwój wszystkich narodów. Zawierają one bezsporny pewnik, że nie

ma patriotyzmu tam, gdzie ignorowane są żywotne potrzeby społeczne mas ludowych. Dojrzały patriotyzm jest więc patriotyzmem postępowym. W warunkach naszej epoki społeczną bazą postępu jest klasa robotnicza posiadająca przeciwstawną burżuazji koncepcję ustrojową. Nieodłącznym elementem tej koncepcji — uzasadnionym wspólnotą interesów robotniczych we wszystkich krajach — jest internacjonalizm. Dojrzały patriotyzm nie może więc być zaślepienym, nie może być praktycznie sterczący w oderwaniu od rozstrzygnięć zapadających w skali międzynarodowej. Prawdę tę posiadał — i był jej wierny — obóz lewicy społecznej. Burżuazja nie mogła i nie chciała do niej się nagiąć, gdyż oznaczałoby to rezygnację z własnego interesu klasowego, który jest tym silniejszy, im bardziej ukrywa się go pod cłoną burżuazyjnego frazesu.

Na marginesie sporu o prawo do patriotyzmu mógłby ktoś uczynić zarzut, że problem jest fałszywie postawiony; że nawet przy uznaniu słuszności koncepcji reprezentowanej przez lewicę nie może być ona wyłączną, gdyż w ten sposób ograniczałaby prawo do patriotyzmu jedynie dla wyznawców skryształowanych poglądów postępowych, co z widzenia interesów ogólnonarodowych nie byłoby korzystne. Zarzut ten jest tylko w części uzasadniony. Socjalistyczna przebudowa struktury gospodarczo-społecznej kraju

(Dokończenie na str. 3)



fol. C.A.F.

Refleksje lipcowe

(Dokończenie ze str. 1)

podporządkowywać człowiekowi przyrodę.

Nowy dzień, który ludzkość rozpoznacza, kierunek dziejów, ku któremu zmierza — to wyrosły z moralnego protestu na krzywdę społeczną nasz świat, ten świat, którego częścią jest Polska Ludowa. Głęboka logika dziejowa sprawia, że dopiero o te podsta wy społeczne oparta Polska mogła nie tylko znieść źródła społecznego wyzysku, ale podjąć dzieło ekonomicznego rozwoju z nie spotykanym w dotychczasowej historii naszego kraju rozmachem twórczym.

Trzeba jednakże pamiętać, że u podstaw przemian społeczno-gospodarczych, jakie się w Polsce dokonały, leży fakt przejścia steru historii naszego kraju przez władzę ludową, władzę klasy robotniczej sprawowaną w interesie całego pracującego narodu. Nie byłoby bez tej przemiany ani reformy rolnej, ani unarodowienia przemysłu, nie byłoby bez niej setek wielkich budowl, które wznosimy, li kwidacji analfabetyzmu i obdarzenia każdego człowieka prawem do wiedzy. Nie byłoby tysiąca małych i wielkich naszych osiągnięć, z których każdy Polak może być dziś szczerze dumny. Dlatego właśnie Święto Odrodzenia, dziesiąta rocznica ustanowienia władzy ludowej w Polsce, jest dla nas przede wszystkim okazją do dojrzałej refleksji pogłębiającej świadomość źródeł, z których płyną osiągnięcia przez nasz kraj zdobyte, i pogłębiającej odpowiedzialność za przyszłość socjalistycznej ojczyzny.

Taka dojrzała refleksja z natury rzeczy daleka musi być od dawnych „państwotwórczych” obchodów, u rasta ona bowiem z najgłębszych pokładów tego, co jest rodzącą się już socjalistyczną świadomością społeczną przekształcającego się narodu. Nie byłoby prawdą twierdzenie, że w Polsce nie ma ludzi niezadowolonych i narzekających, nie byłoby także prawdą, że w kraju naszym nie ma braków, niedociągnięć i błędów. Ale prawdą wyrastającą ponad wszelkie powierchowe uwagi jest stwierdzenie, że dziś już nikt nie może zaproponować milionom Polaków, całemu pracującemu narodowi zrzeczenia się tych zdobyczy, które osiągnęliśmy. Borykający się nieraz z dużymi trudnościami życiowymi człowiek pracy zdziwiliby się bardzo, gdyby mu ktoś jako receptę szczerze zaofiarował kapitalistyczną drogę, a więc zrzeczenie się tych zdobyczy, które wraz z Polską Ludową osiągnął. Dzieje się tak nie z innego powodu, a dlatego właśnie, że socjalistyczna ojczyzna przywróciła milionom Polaków prawo do ludzkiej godności prostego człowieka.

Tysiące osiągnięć mamy za sobą i tysiące problemów i zadań stoi przed nami. Przekształcamy kraj: aby fabryki dawały nam maszyny, aby ziemia więcej rodziła, aby stworzyć warunki pozwalające człowiekowi żyć lepiej, dostatniej i pełniej.

Zainteresowani jak każdy naród w tym, aby sporne kwestie międzynarodowe regulowane były w drodze rokowań, nasze szczególne prawo do upominania się o pokój między narodami, wynikające z odczuwanego do dziś dziedzictwa wojny, realizujemy przez to, co stanowi codzienną treść naszego życia. Mozolnym ale potężnym wysiłkiem twórczym w dziedzinie gospodarki i kultury podajemy pomocną dłoń tym wszystkim, którzy w najróżniejszych zakątkach świata przeciwstawiają się siłom wojny i

wzmacniamy ciągnący się od Łaby po Jang-Tse-kiang osiemsetmilionowy obóz pokoju.

Wreszcie uczymy się żyć u siebie po nowemu. Ci, którzy od początku zajęli właściwą i dojrzałą postawę społeczną i ci wszyscy, którzy nie bez wahań, nieraz poomacku, poprzez błędy odnajdują słuszną drogę i swe miejsce w dziele społecznej budowy. Gospodarski jest nasz trud i gospodarskiej wymaga troski. Nie jest nam dane osiągnąć tę sztukę w łatwych warunkach. Siła ekonomiczna naszego kraju nie powstaje bowiem z rabunku kolonii, a kulturę techniczną i dyscyplinę gospodarczą stworzyć musimy nie przez wieki, ale przez lata. Na bogactwo nasze nie leżą pariasi Indii i murzyni Afryki, tak jak przez wieki na bogactwa Anglii, nasz szybki rozwój przemysłowy nie wyrasta z dokonywanej na najrozmaitszych rynkach grabieży, z zarobków wojennych i z wyzysku półkolonialnych ludów Azji i Północnoameryki, tak jak rozrastał się przemysł Stanów Zjednoczonych. Kapitalizm zaś, którego panowanie w naszym kraju należy do bezpowrotnej przeszłości, nie pozostało nam rozwiniętej techniki, ale jeszcze półfeudalne zacofanie traktowanego w dużej mierze jako kolonia kraju. Te fakty sprawiają, że nie jest i nie mogło być nam łatwo. Ale dokonane w trudnych warunkach dzieło naszego narodu, wsparte bratnią pomocą narodów radzieckich, już dziś po dziesięciu latach pracy, a nie po wiekach — jest wielkie. Wystarczy spojrzeć w lewo i prawo, aby się o tym przekonać. Wszędzie, tam na budowach, w fabrykach, na ulicach i w pracowniach naukowych — wszędzie gdzie powstawała przez te dziesięć lat i rozkrzewia się nadal wielkość nowej Polki odnajdziemy niezatarty ślad rozumnej myśli przewodniej i ofiarnego trudu.

Nasz zaś szacunek winni jesteśmy nie tylko osiągniętym zdobyczom, ale i tym właśnie dwóm podstawowym elementom naszego dziejowego postępu, które o zdobyciach stanowią. Ta atmosfera szacunku i troski o wspólne dobro jest potrzebna dla dalszego twórczego rozwoju naszego kraju, tak właśnie jak dla wzrostu rośliny konieczne jest słońce. Musi ona tym niezbędnym ciepłem dojrzałej troski otoczyć to wszystko, co trzeba nam z całych sił utrzymywać, rozbudowywać, pomnażać. Tylko zaś taka troska upoważnia też do krytyki, tej krytyki, która jest potrzebna i ma prawo obywatelstwa w socjalistycznym budownictwie — krytyki dokonywanej dla dobra i z pozycji Polski Ludowej.

Gospodarski trud socjalistycznego narodu polskiego zawiera w sobie wysiłki milionów Polaków, wierzących i niewierzących, partyjnych i bezpartyjnych. Uczestniczą w nim ołbrzymie rzesze katolików polskich. Troska o przyszłość socjalistycznej ojczyzny w świadomej postawie społecznej katolików nie wyklucza, ale jednoczy się z troską o perspektywę współzycia różnych światopoglądów, o warunki zewnętrzne dla misji Kościoła i rozwój kultury religijnej. Ta świadoma postawa daleka jest od tego, aby przylgnąć się z hoku do tych, jak inni urabiają sobie rzecz. Na odwrót, wyrasta ona z dbałości o rozwój kraju, o życie własnego narodu i przyszłość świata, z poczuciem odpowiedzialności za dzień dzisiejszy i jutro.

Musimy też to poczucie wspólnej odpowiedzialności za los socjalistycznej ojczyzny, za nieodwracalność, wielkość, piękno i rozwój jej przemian społecznych — pogłębiać i czynić co raz bardziej dojrzałym. Obfity jest bowiem w problemy i zadania nasz czas i na swoją miarę wymaga od nas postawy.

Tadeusz Mazowiecki

Wojciech KĘTRZYŃSKI

»Publicystyka w kraju budującym socjalizm«*

JEST oczywistą i wielką zasługą Edmunda Jana Osmańczyka iż poruszył w sposób poważny i przykonywający zagadnienie, wokół którego w polskim świecie kulturalnym panowało niezrozumiałe milczenie — zagadnienie naszej publicystyki.

Jest jednocześnie zjawiskiem niepokojącym, że praca ta nie spotkała się dotąd z należytych oddźwiękiem. Dotyka spraw ważnych i palących. Zawiera mocny ładunek krytycznych przemyśleń. Zawiera tezy, na które trzeba się w sposób oczywisty zgodzić i takie, które zasługują na obszerniejszą analizę. Mimo tego, po pół roku, dyskusja właściwie nie zawiązała się, nie było ani polemik, ani mocno i dosadnie podkreślonych wniosków.

Dlaczego?

Oczywiście najłatwiej jest podchwycić z miejsca argument Osmańczyka i stwierdzić, że ponieważ nie ma jak dotąd prawdziwej krytyki publicystyki, tak jak jest krytyka literacka czy teatralna, więc nie było komu zareagować i ocenić tę pracę, typowo publicystyczną. To byłoby jednak wykręcaniem się od odpowiedzialności.

Można również, i wydaje mi się że słusznie, zauważyć, że właściwie ta książeczka nie ma dostatecznie wyraźnie określonego adresata. Nie wiadomo dobrze, kto powinien na jej wywody zareagować. Osmańczyk zaczyna od próby definicji pojęcia publicystyki, definicji niezmiernie szerokiej, skoro stwierdza na wstępie, że „publicystyka obejmuje nie tylko słowo pisane i mówione, ale również i tworzywa innych dziedzin sztuki, a więc muzyki, malarstwa, grafiki, rzeźby”. Zacieśniając zaś dla celów praktycznych zakres publicystyki omawianej w swej rozprawie tylko do dziedziny literackiej, zalicza do niej jednak „nie tylko tzw. małe formy literackie, jak na przykład: artykuł, felieton czy reportaż, ale również utwory tak zwanej wielkiej formy literackiej, jak na przykład poemat, powieść, nowelę, dramat, o ile świadomie mają one charakter publicystyczny”.

Całość tej definicji budzi duże zastrzeżenia. Według Osmańczyka właściwie wszystko co w sferze wyraża kierunek realizmu socjalistycznego — jest publicystyką. Zostawmy jednak na boku spór o definicję, skoro w praktyce mówiąc „publicystyka” rozumiemy się wszyscy dobrze. Istotniejsze jest to, że zdawać by się mogło z treści rozprawy Osmańczyka, iż jego apel skierowany jest niemalże wyłącznie w stronę pisarza-literata, który powinien przyjąć w sukurs dziennikarstwo i uratować poziom naszej publicystyki. „Dziennikarze, pisze Osmańczyk, na których spada główny ciężar publicystycznego trudu, nie są w stanie pogłębiać i rozszerzać sposobów argumentacji tak jak to mogliby uczynić pisarze z tej prostej przychylnej, że technika pracy dziennikarskiej wymaga ciągłego pospiechu i ciągłego, codziennego przerywania się do coraz innego tematu”.

Nie każdy pisarz ma kwalifikacje i zacięcie do publicystyki. Co do tych zaś, którzy są na tym odcinku nieaktywni, nie sądzę, aby się łatwo zgodzili na tezę Osmańczyka, iż „a priori” są mniej zajęci od dziennikarzy. Można by się zresztą o to spytać Kazimierza Koźniewskiego, Worozyłskiego, czy innych „wziętych publicystycznie” literatów

Nie jesteśmy w żadnej mierze przeciwnikami możliwie najszerszego wciągnięcia literatów do aktywności publicystycznej. Przeciwnie, doceniamy ich rolę w całej pełni, tym

bardziej zresztą, o ile w swej publicystyce potrafią pozostać sobą, to znaczy artystami, literatami, a nie zamieniają się w lepszych lub gorszych dziennikarzy.

Nie sądzimy jednak, że można rozwój publicystyki w naszych warunkach opierać tak bardzo, jak to czyni Osmańczyk, na udziale w niej literatów. Przede wszystkim dlatego że literat, z natury rzeczy, musi mieć czas na swą własną twórczość artystyczną i nadmierne odrywanie go od niej może być w rezultacie szkodliwe. Praktyka wykazuje, że poza wyjątkami, prawdziwi literaci, dysponując kwalifikacjami publicystycznymi, mogą się tej dziedzinie udzielać tylko okresowo. Następnie dlatego, że jak to podkreśla wielokrotnie Osmańczyk, publicystyka wymaga dużej wiedzy, stale i konsekwentnie uzupełnianej. Wyrośliśmy już, dzięki Bogu, z okresu, gdzie przeciętnie zdolny inteligent-omnibus mógł z równym powodzeniem pisywać artykuły w gazetach o powieści. Twórczość literacka także wymaga dziś wiedzy. Obie te dziedziny, mając więc wspólne podstawy intelektualne, wymagają jednak innego zakresu przygotowań szczegółowych. Dlatego, poza wyjątkami, jakże cennymi, ale zawsze wyjątkami, udział pisarzy w publicystyce pozostaje czynnikiem rezerwowym.

Któż więc powinien być właściwym adresatem pracy Osmańczyka? Oczywiście dziennikarstwo polskie. Mimo chronicznego braku czasu i konieczności przerywania się z tematu na temat. Z książki Osmańczyka bije bowiem oczywisty wniosek; iż nasza, współczesna kultura kraju budującego socjalizm potrzebuje wyłonienia się jako specjalnie wyodrębnionej twórczości — specjalności intelektualnej publicysty. Dziennikarstwo dawno przestało się ograniczać do dzienników. Obejmuje sobą dziś nie tylko różne periodyki, ale obejmuje również i radio, film, broszurę, nawet gwien typ wydawnictw książkowych. Wiąże się z całokształtem pracy dziennikarskiej, z koniecznością posiadania tej samej praktyki, tych samych zdolności i tego samego typu wiedzy praktycznej i teoretycznej. Dlatego też, najczęściej, dobra publicystyka wyrasta z długoletniej praktyki dziennikarskiej, powiedziałbym nawet, wymaga znajomości i stałego kontaktu z rzemiosłem dziennikarskim.

Na apele Osmańczyka powinni też przede wszystkim odpowiedzieć dziennikarze i zastanowić się, jaka jest ich odpowiedzialność za sygnalizowane bardzo trafnie słabości i błędy naszej publicystyki. Tu jednak wraca ponownie zagadnienie braku czasu i rozstrzelania zainteresowań u dziennikarzy. Objaw, przyznając, rozpowszechniony i niebezpieczny. Skoro stwierdzamy wszyscy za Osmańczykiem, że dla społeczeństwa, które buduje socjalizm, publicystyka na właściwym, wysokim poziomie jest niezbędnym orężem walki, to przecież powinno nas już stać dziś na to, by wychować kadrę pełnowartościowych publicystów i zapewnić im w zakresie pracy dziennikarskiej tego rodzaju warunki, które by pozwoliły na pełne wykorzystanie ich kwalifikacji.

Pamiętamy przedwojenne czasy, gdy zdolny literat musiał, by tworzyć, zarabiać na życie bądź to bezmyślną dziennikarką, bądź to belferką, bądź to pracując w zawodzie nie mającym nawet nic wspólnego z pracą umysłową. Rozumiemy też, że był to okres, który nie pozwalał

właściwie na rozwijanie społecznie postępowej publicystyki inaczej, jak na marginesie pracy techniczno-dziennikarskiej. Dziś jednak, w warunkach Polski Ludowej, powinno już nas na to stać, aby dziennikarz, który przeszedł należyte staż praktyczny, który wykazuje się kwalifikacjami na pełnowartościowego publicystę, mógł być oswobodzony od innych zadań redakcyjnych. Z niepokojem śledzimy osobiste naszych najlepszych publicystów, posiadających na zaszczytnych, ale uciążliwych fotelach naczelno-redakcyjnych, w rezultacie czego darzą nas swą publicystyką dosłownie odświeżenie, od wielkiego dzwonu.

PUBLICYSTYKA jest specjalnością. To dziś nie ulega żadnej wątpliwości. Specjalnością, wymagającą, jak każda zresztą, dużego wkładu osobistej pracy, nim dojdzie się do dobrych wyników. Publicysta nie tylko musi stale pogłębiać swą świadomość ideologiczną, nie tylko musi stale poszerzać swą wiedzę o świecie i skomplikowanych jego sprawach, ale musi mieć osobisty, bezpośredni kontakt ze swym odbiorcą, z czytelnikiem, by umiał postawić właściwie zagadnienie aktualne i odpowiedzieć na nie używając tej argumentacji, której odbiorca w danym momencie potrzebuje. Wiemy zaś wszyscy dobrze jak niebezpieczne jest pod tym względem zamknięcie się w ścianach redakcyjnego pokoju. Osobistego kontaktu nie zastąpi ani obrady redakcyjne, ani żadne inne zebrania. Musimy przeto dość powoli ale systematycznie odróżnienia w pracy redakcyjnej dwóch tytułów — redaktora i publicysty — a temu drugiemu stworzyć maksymalnie najlepsze warunki pracy twórczej, ze swobodą ruchów podobną do tej, jaka na swoim odcinku właśnie dysponują literaci.

Niezmiernie cenna jest w pracy Osmańczyka analiza niedociągnięć publicystyki w poszczególnych konkretnych akcjach, dosadnie, ale słusznie zanalizował braki publicystyki w okresie kampanii konstytucyjnej. Można by drugie tyle powiedzieć o publicystyce w okresie przedwyborczym. Ja bym chciał się tu chwilę zatrzymać na wydarzeniu ostatnim, na tragicznej sprawie Rosenbergo. W dniu, gdy niegodni miana człowieka władcy z Waszyngtonu dokonali tego chydnego mordu, zapytał mnie ktoś, kogo ucziwe stanowisko wobec Polski Ludowej i sprawy postępu jest mi znane: „wiem, że zamordowano dwoje niewinnych ludzi, ale nie rozumiem właściwie dlaczego ich nazywają bohaterami obrońcami pokoju. Przecież tam chodziło o coś zupełnie innego”. Ta krótka uwaga dowodzi po prostu, że nasza publicystyka nie sprostała zadaniu. O ile potrafiła poruszyć sumienia i ukazać niesprawiedliwość wyroku, o tyle nie umiała dostatecznie naświetlić kulisów tej zbrodni. Nie potrafiła pokazać obrazu stosunków w społeczeństwie amerykańskim, charakteru propagandy wokół sprawy Rosenbergo i bezpośredniego związku między ich sprawą i ich postawą, a zagrożeniem pokoju. I to nie jest jedyny wypadek.

Publicystyka w kraju budującym socjalizm wymaga dużego wkładu ideowego ze strony piszącego. Sprawa socjalizmu musi być u niego na prawdę szczerze i głęboko przeżyta, zarówno w kontekście spraw wewnętrznych, jak i międzynarodowych. Wymaga ona jednak również solidnej wiedzy. Na tym odcinku dzieje się źle. Zwróćmy uwagę na to, że nie posiadamy w Polsce sprawnego centralnego archiwum dokumentacji

(Dokończenie na str. 6)

CZYTAJ CIE
„SŁOWO POWSZECHNE”
PISMO CODZIENNE

* Edmund Jan Osmańczyk — „Publicystyka w kraju budującym socjalizm”.

Dominik HORODYŃSKI

SESJA W BUDAPESZCIE



CZWARTEJ z kolei sesja Światowej Rady Pokoju, która obradowała w drugiej połowie czerwca w Budapeszcie, była poważnym wydarzeniem międzynarodowym, zarówno ze względu na moment, w którym się odbywała, jak i ze względu na olbrzymią wagę poruszonych przez nią zagadnień i podjętych uchwał.

Sesja budapeszteńska była pierwszym od Kongresu Narodów w Wiedniu spotkaniem kierownictwa światowego ruchu pokoju. W okresie tego półrocza zasły niezmiernie doniosłe wypadki, które w całej rozciągłości potwierdziły słuszność i skuteczność prostych rozwiązań i wskazań głoszonych przez ruch pokoju od chwili jego powstania, od Wroclawskiego Kongresu.

Nacis szerokiej opinii publicznej coraz bardziej stanowczo domagającej się rozwiązań pokojowych oraz stale rosnące sprzeczności między tymi państwami, z których rząd Stanów Zjednoczonych usiłuje zorganizować koalicję antyradziecką stworzyć warunki, w których dzięki inicjatywie państw obozu pokoju — w pierwszym rządzie ZSRR — powstała nowa atmosfera w stosunkach międzynarodowych i zarysowała się możliwość likwidacji „zimnej wojny“ w drodze rozmów między mocarstwami we wszystkich spornych sprawach.

Niewątpliwie pierwszy — decydujący — krok w kierunku likwidacji napięcia został postawiony. A o to przecież walczyła Światowa Rada Pokoju! Dlatego delegaci narodów zebrani w Budapeszcie z radością powagą uznali, że odprężenie w stosunkach międzynarodowych już się dokonuje, że droga do pokoju jest otwarta. Dlatego też porządek dzienny budapeszteńskiej sesji ograniczony został do dwóch tylko punktów: sprawy odprężenia politycznego i rokowań oraz sprawy rozszerzenia i określenia roli Światowej Rady Pokoju.

Wszystkie zagadnienia omawiane pod pierwszym punktem porządku dziennego wiążą się z sobą ściśle. Wyniki sześciogodniowej dyskusji plenarnej i prac poszczególnych komisji znalazły swój wyraz w trzech jednolitych uchwalonych dokumentach: Apelu Światowej Rady Pokoju, Deklaracji — będącej modyfikacją tego Apelu oraz w Zaleceniach dotyczących rozszerzenia wymiany kul-

do wznowienia kontaktów międzynarodowych.

Wypływa stąd konieczność zorganizowania jak najszerszej wymiany kulturalnej, aby wszyscy ludzie mogli dzielić się ze sobą wynikami swej pracy, postępem technicznym, osiągnięciami na polu nauki, techniki i sztuki.

Kontakty te, niezbędne dla powolnego i owocnego rozwoju kultury, pomogą również w usunięciu niezrozumienia i nieufności, pozwolą zaznajamiać się bezpośrednio z osiągnięciami każdego kraju i sprzyjać będą tym samym oświeceniu i napięciu międzynarodowemu...

Jak widzimy wszystkie końcowe uchwały szły w jednym kierunku. Światowa Rada Pokoju dając wyraz przekonaniu i woli setek milionów ludzi wezwała wszystkich, którym droga jest sprawa pokoju, do wielkiej akcji na rzecz pogłębienia odprężenia międzynarodowego i doprowadzenia do negocjacji między wielkimi mocarstwami. Wezwanie to odnosi się nie tylko do szerokich rzesz obywateli pragnących pokoju we wszystkich krajach świata. Odnosi się ono również do rządów wielkich mocarstw, które wzywa do rozpoczęcia rozmów bez warunków wstępnych na temat wszystkich zagadnień spornych na zasadzie wzajemnego poszanowania i wzajemnych ustępstw. Każdy rząd musi się liczyć z tym wezwaniem, gdyż pochodzi ono od najpotężniejszego ze współczesnych ruchów, który dowiódł, że potrafi przeprowadzić swą rolę, że nie sposób go lekceważyć.

„Sesja wyciągniętej ręki“ — nazwał obrady budapeszteńskie Pierre Cot. Istotnie w imieniu przeważającej części ludzkości raz jeszcze wyciągnięta została ręka do porozumienia, do zapewnienia pokojowego współistnienia między narodami o różnych systemach gospodarczych i politycznych. Do negocjacji wzywali na ster niemiecki i komunista włoski, ksiądz francuski i liberalny polityk hinduski, pisarz radziecki i duchowny arabski, mężowie stanu, działacze związkowi, artyści.

Światowa Rada Pokoju ma już za sobą paroletnie doświadczenie, jej nadzieje nie są naiwnym optymizmem. Ludzie obradujący w Budapeszcie wiedzieli o dokonanych w pierwszych dniach sesji poważnych zamachach na pokój światowy: o prowokacji berlińskiej i dywersji Li-Syng-mana. Znalży rolę polityków amerykańskich w obu tych wydarzeniach i dobrze ich znaczenie zważyli przed wydaniem apelu i deklaracji. Wiedzieli również o zbrodni w Sing-Sing; w skupieniu oddali hołd pamięci małżeństwa Rosenberga, którzy bohaterstwa ofiary śmierci nie rozważalnie związana jest z tą atmosferą gwałtu i przemocy, przeciwko której walczą wszyscy ludzie ruchu pokoju.

Światowa Rada wiedziała o wszystkim co dzieje się na świecie i w najgłębszym przekonaniu stwierdziła, że siły pokoju są silne jak nigdy dotąd, że coraz skuteczniej izolują siły wojny.

*

A teraz trochę wrażeń osobistych. Sądzę, że każdy z uczestników wynosi niezmiernie dużo z takiego międzynarodowego spotkania. Bo są to jednak spotkania nadzwyczajne, których możliwość powstała wyłącznie dzięki egłóncowi światowemu zasięgowi i atrakcyjności ruchu pokoju. Nie idzie nawet o to, że jest to okazja do wzajemnego usłyszenia się i poznania najwybitniejszych ludzi epoki w zakresie twórczości naukowej, literackiej i artystycznej, do wzajem-

nego spotkania czołowych polityków, myślicieli i działaczy społecznych. Nie wszyscy członkowie Rady Pokoju są „sławami“ światowemu, przeciwnie, większość z nich to „liniowi oficerowie“ obrony pokoju. Ale zważmy, że jeżeli z każdego kraju przyjeżdża nawet tylko parę osób, z których każda reprezentuje jednak jakieś poważniejsze środowisko, to już same spotkania między tymi ludźmi, ich wymiana poglądów i doświadczeń ma poważne znaczenie dla zbliżenia i wzajemnego zrozumienia się między narodami. Ileż spraw i zagadnień delegaci sobie wyjaśniają, ile rzeczy jest do wyjaśnienia, ile jest nieporozumień i fałszywych wyobrażeń, jak każdemu coraz lepiej rysuje się związek między sytuacją jego ojczyzny a położeniem dalekich, z nazwy czasem ledwo znanych krajów!

Sesja budapeszteńska nie była sesją burzliwą ani sensacyjną. Nie było na niej gwałtownych sporów. Była natomiast sesją wyjątkowo pouczającą. Delegaci poszczególnych narodów wszechstronnie, spokojnie i rzeczowo przedstawiali sytuację swoich krajów. Były to wspaniałe wykłady zwiększające znakomicie nie tylko wiedzę o sytuacji na świecie, ale i o położeniu własnego kraju. Ja np. po jednym z wystąpień w dyskusji Singh Sokhey'a, wybitnego polityka hinduskiego, lepiej zrozumiałem zagadnienie naszych polskich inwestycji przemysłowych niż rozumiałem je po przednio, mimo iż problem ten wydał mi się znany.

Sesja ta — poza wszystkim innym — była wstrząsającym przeglądem między ludzką, umożliwiła nam objęcie po prostu zmysłowo bez miaru tej nędzy. Co innego bowiem, gdy się wie z książek, że przeszło połowa ludzkości umiera z głodu, co innego zaś, gdy się słyszy i widzi wystanników głodnych ludzi, gdy się z nimi rozmawia.

Prawo do patriotyzmu

(Dokończymy ze str. 1)

zakłada proces przekształcenia narodu polskiego w socjalistyczny naród polski. Proces ten uzależniony jest od postępów w dziedzinie przekształcania ekonomiki. Osiągnięcie stanu całkowitego społeczeństwa środków produkcji usunie antagonizmy klasowe; sprzyjać będzie umocnieniu jednolitej postawy narodu. Uwzględnienie społecznej dynamiki socjalistycznych przeobrażeń pozwala więc generalnie zakwestionować słuszność sprecyzowanego wyżej zarzutu. Prawdą jest, że są one przede wszystkim obłożone na zaspokojenie emancypacyjnych dążeń klasy robotniczej, ale zarazem przekształcają cały naród, który w toku budowy nowego ustroju zdobywa nową, nieznaczącą się z punktami klasowymi perspektywę rozumienia swych potrzeb. Dostrzeżenie tej perspektywy przez coraz szersze kręgi społeczne jest sprawdzianem prawdziwości zachodzących procesów. Ale w tej mierze, w jakiej warunki społeczne kraju budującego socjalizm uzasadniają utrzymywanie się nieprawidłowej motywacji postawy patriotycznej, w tej mierze nie można jej mechanicznie „anulować”. Brak dalekowzrocznej perspektywy nie jest bowiem brakiem patriotyzmu, jest natomiast patriotyzmem nie do końca dojrzałym.

Proces przekształcania narodu w naród socjalistyczny, postępujący równolegle i współzależnie do przeobrażeń ekonomicznych i społecznych, przebiega w warunkach walki klasowej i otoczenia kapitalistycznego. Nie może więc dokonywać się

NA koniec wspomnienia szczególnie przyjemne. Wszyscy wyjeżdżaliśmy pod głębokim wrażeniem serdecznej gościnności Węgrów i podurokiem ich pięknej stolicy.

Przez parę tygodni byłem w Budapeszcie przed dziesięciu laty. Zostało mi z tamtego czasu smutne wspomnienie miasta zgaszonego i stłamszonego wojną. Teraz znalazłem się w jednej z najświetniejszych stolic świata, w mieście pełnym ruchu, życia i twórczej pracy. Tygodniowy pobyt wypełniony obficie pracami sesji jest z pewnością okresem zbyt krótkim, by poznać życie narodu, którego dotychczas nie znalazłem dostatecznie. Odwiedzałem miejsca znane mi z dawnych lat, rozmawiałem z ludźmi, zwiedzałem fabryki, boiska sportowe i miejsca rozrywek ludzi pracy — zostało mi potężne wrażenie narodu, który z ogromnym rozmachem przekształca i rozwija swoje życie i może poszczycić się ogromnymi osiągnięciami.

Wraz z częścią delegacji polskiej przyjechałem do Budapesztu z Berlina, z międzynarodowego spotkania w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. Jechaliśmy trasą Berlin-Praga-Brno-Bratysława-Budapeszt. I wszędzie — w Niemczech Republice Demokratycznej, na Morawach, w Słowacji i na Węgrzech — widzieliśmy te same uderzające i nowe elementy krajobrazu: nowe rusztowania, nowe kominy fabryczne, nowe bloki mieszkaniowe, nowe roboty ziemne, zapory wodne i elektrownie. Nie tylko Polska jest jednym wielkim placem budowy; plac ten rozciąga się szeroko na wszystkie zaprzyjaźnione z nami kraje, które w wielkim twórczym trudzie podnoszą na wyższy poziom życie swych narodów i wzmacniają swą pracę walkę o pokój na świecie.

Dominik Horodyński

bezboleśnie i gładko. Mając powody do uzasadnionej dumy z racji naszych osiągnięć, nie można beztrudnie dostrzegać przeszkód, jakie stoją na naszej drodze. Przeszkody te są różnego rodzaju. Wynikają z obiektywnych trudności spowodowanych dziedzictwem ustroju kapitalistycznego i zniszczeniami wojennymi, z burzący i zaślepieni obciążeniami psychiki narodowej, górną się nad ich stwierdzeniem imperialistyczne wywody nasłajające do naszego kraju szpiegów oraz fabrykujące monstrualne plotki o myśli wywołania wewnętrznych zaburzeń. Wynikają one wreszcie z biurokratycznych potknięć zdarzających się w aparacie państwowym. Pokonywanie tych trudności jest elementarnym obowiązkiem patriotycznym, zadaniem płynącym z uczestnictwa we Froncie Narodowym łączącym wszystkich od niewiedzielnie myślących Polaków — wierzących i niewierzących.

Świadomy internacjonalista podejmując ten obowiązek postępuje konsekwentnie. Fałszywe jest stawianie alternatywy: naród czy rewolucja? Histeria nagromadziła już dostateczną ilość faktów świadczących o tym, że autentyczny patriotyzm jest nierozdzielny od wierności sprawie rewolucji, sprawie wyzwolenia społecznego mas ludowych wszystkich narodów. Tylko wtedy zobowiązujące uczucie miłości Ojczyzny zdobędzie perspektywę ideologiczną dojrzałą na miarę naszej epoki.

Wojciech Włoczek

Jerzy CZAPIŃSKI

O W I E R Z E R O Z U M N E J

KIEDY z perspektyw teraźniejszości odważnie spoglądamy w przyszłość, widzimy wyraźnie, iż należy ona do człowieka konsekwentnie rządzącego się nakazami rozumu. Taką przynajmniej wymowę mają dynamiczne tendencje przeżywanego przez nas czasów. Histria zdaje się mówić, że w tworzącej się rzeczywistości jest miejsce jedynie dla tych, którzy kierują się myśleniem opartym na logice i doświadczeniu. „A więc nie ma tam miejsca dla ludzi wierzących” — powiadają katolicy, posiadający błędne, niezgodne z prawdą wyobrażenia o tym, czym jest poznanie, oparte na wierze katolickiej. „A więc ta przyszłość rozumna wroga jest wierze, należy zatem z kształtującymi ją przyszłością siłami walczyć” — powiadają ci, którzy pragną liby zapędzić katolików do szeregów obrońców ginącej formacji społeczno-ekonomicznej.

Nie trudno wykazać, że religia katolicka apelując do psychicznej całości osoby ludzkiej nie tylko nie pomija rozumowości człowieka, ale wręcz przeciwnie: rozwija tę rozumowość i ugruntowuje. Tak zatem błędne mniemanie na temat roli rozumu w religii katolickiej, niestety często jeszcze pokutujące w niektórych środo-

wiskach katolickich, łatwo mogą być usunięte ze społecznej świadomości katolików polskich pod warunkiem jednak, że studiowanie treści przeżywanego religii będzie u nas i bardziej powszechne i bardziej pogłębione.

Problem racjonalności aktu wiary katolickiej jest w tym widzeniu rzeczy problemem kluczowym, dlatego właśnie, pragnąc przyczynić się do uświadomienia rozważań, dyskusji i studiów, poświęconych racjonalnym podstawom religii katolickiej, tym zagadnieniem zajmujemy się przede wszystkim.

I.

W EDŁUG nauk Kościoła Bożego akt wiary katolickiej będąc nadprzyrodzonym i wolnym, jest równocześnie aktem racjonalnym. Oznacza to, że do przyjęcia prawd wiary naszej dochodzimy także, choć nie tylko, przy pomocy rozumowania. Wszelkie koncepcje fideistyczne i modernistyczne, sugerujące jakoby prawdy wiary były przyjmowane jedynie pod wpływem uczuć, pragnień i chęci, i że tak właśnie być powinno, zostały przez Kościół stanowczo i ostatecznie potępione. Równocześnie urząd nauczycielski Kościoła

przypominał wielokrotnie, iż autentycznemu katolikowi nie może wystarczyć bierne przyjmowanie twierdzeń wiary, pojętych jako cenna tradycja rodzinna czy narodowa, że obowiązkiem jego jest, stosownie do posiadanych możliwości, krytyczne przemyślenie podstaw własnej wiary.

Można się spotkać z zarzutem, iż teza o racjonalności aktu wiary nie wytrzymuje krytyki, ponieważ sam Kościół przyznaje, że podstawowe prawdy Objawienia, jak np. prawda o Wcieleniu i Odkupieniu nie mogą być rozumowo udowodnione. „W te rzeczy, proszę pana, trzeba wierzyć, tu dowodzenie nie ma nic do roboty, wiara nie potrzebuje rozumu” — powiedział mi kiedyś z bardzo „świętym” oburzeniem, wysłuchawszy mojej uwagi, że jedną z głównych przyczyn łatwego porzucenia wiary jest brak rozumowego jej przeżywania. Oburzenie, moim zdaniem, nie było słuszne, przynajmniej jednakże, że istotnie podstawowe prawdy Objawienia nie mogą być poznane na drodze bezpośredniego poznania. Kościół dawno już potępił bezowocne usiłowania, mające na celu rozumowe uzasadnienie podstawowych prawd religii katolickiej w oderwaniu od faktu Objawienia.

Bezpośrednie poznanie, to czynność w toku której przeżywamy bezpośrednio, w empiryczny bądź logiczny sposób, przedmiot naszego poznania. W konsekwencji takiej czynności przyjmujemy do naszej świadomości nowe treści poznawcze, narzucające się nam jako konieczność, której na prawdę odrzucić nie podobna. Rozumowanie i doświadczenie, prawa myśli i rzeczywistości fizycznej, bezpośrednio przeżyte w związku z naszym poznawczym kontaktem z przedmiotem poznania, dają nam wiedzę. Ale czy możemy zdobyć drogą wiedzy poznanie wewnętrznego życia Boga, poznać na tej drodze Jego wolę i Jego stosunek intencjonalny do nas oświście i do wszystkich innych ludzi? Rzecz jasna, jest to najzupełniej niemożliwe. Bóg egzystuje przecież poza stworzeniami, do których dociera umysł człowieka jedynie przez poznanie bezpośrednie. Przez świat rzeczy stworzonych, istniejących poza Bogiem i w Bogu, możemy co najwyżej poznać fakt istnienia Boga oraz określić ogólnie Jego przymioty, i to te jedynie, które znajdują się w ścisłym związku ze światem stworzonym. Otóż prawdy wiary odwołują się przeważnie do rzeczywistości, znajdującej się poza zasięgiem bezpośredniego poznania i zatem nigdy nie stana się przedmiotem wiedzy. Trzeba więc przyznać, że w złośliwej uwadze, określającej stosunek wiary do wiedzy, tkwiła część prawdy. Istotnie, tu dowodzenie nie ma nic do roboty. Ale zaraz potem powiedziano słowa jawnie fałszywe: „wiara nie potrzebuje rozumu”.

Jak nazwiemy człowieka, który bez zastrzeżeń uwierzył komuś, kto nadozwolono kłamać? Albo tego, kto pragnąc uzyskać rozstrzygnięcie skomplikowanego zagadnienia naukowego, zwrócił się do specjalisty, znanego z częstych błędów w rozumowaniu, a otrzymawszy kategorię, pozbawioną wyjaśnienia odpowiedzi, odszedł zadowolony? W najlepszym razie nie wiemy o tych ludziach, że nie umieją używać rozumu. A jakże inaczej ocenimy kogoś, kto korzystając z dobrego podręcznika czy naukowej pracy monograficznej lub dobrego wykładu przyswoił sobie pewne treści i jedynie w oparciu o naukowy autorytet autora, mając jednocześnie świadomość, że istnieje metoda bezpośredniego sprawdzania przyjętych tez.

We wszystkich powyższych wypadkach mamy do czynienia z wiarą, ale

jedynie w ostatnim wypadku stykamy się z wiarą, korzystającą z pomocy rozumu. Tę drogę poznania, która się tutaj rysuje, nazwać można poznaniem pośrednim. Polega ono na przyjmowaniu nowych treści nie na tej zasadzie, że my sami, przy użyciu własnych władz poznawczych, do sięgamy przedmiotu poznania, ale na podstawie świadectwa kogoś, kto, bezpośrednio poznawszy, podał nam wyniki tego poznania. Rola rozumu sprowadzała się tu do krytycznego rozważania wartości autorytetu, po dającym nam nowe treści oraz do sprawdzenia, czy istnieją możliwości bezpośredniego skontrolowania prawdziwości podanych tez. Boć w gruncie rzeczy główną racją, która dowołała o przyjęcie do świadomości nowych treści (przyjęciu, właściwie mówiąc fakultatywnym) była ich sprawdzalność oraz oczywistość, chociaż nie osobiście doświadczona.

Istnieje jednak takie poznanie, które nie będąc poznanem zdobytych na drodze wiedzy oraz rezygnując z obiektywnej możliwości sprawdzenia prawdziwości poznanych treści, zachowuje w pełni swój racjonalny charakter. Jest to przyjmowanie drogą wiary nowych treści do naszej świadomości wskutek tego, że objawił je sam Bóg. Mamy wówczas do czynienia już nie z wiarą naukową, o której mówiliśmy wyżej, ale z wiarą religijną. To co było słuszne w stosunku do autorytetu ludzkiego, a więc fakultatywność oraz postulat sprawdzalności, tutaj staje się najzupełniej zbędne. I mimo iż nie zawsze możemy sprawdzić prawdziwość twierdzeń, po danych przez Boga, jednakże właśnie rozum nakazuje nam przyjąć je jako twierdzenia prawdziwe. Albowiem akt wiary religijnej, chociaż jest aktem przyjęcia prawdy przez umysł nie na podstawie oczywistości samej prawdy, to jednak na podstawie wyraźnej dla umysłu oczywistości podanej nam daną prawdę do wierzenia.

Racjonalność aktu wiary katolickiej polega na tym, że katolik obowiązany jest nie tylko wierzyć, ale i wiedzieć dlaczego wierzy. A postulowane przez katolicyzm pojmowanie prawd Objawienia i uzasadnienie, dla którego przyjmujemy nieoczywiste prawdy wiary, powodują, iż drogą katolickiej wiary religijnej zaliczyć trzeba do poznania również autentycznie racjonalnego, jak droga wiedzy.

Przede wszystkim, wierząc trzeba jasno i wyraźnie rozumieć, co stanowi treść przyjętej drogi wiary religijnej prawdy. Oczywiście umysł człowieka nie zgłębi jej istoty, ponieważ, jak już wspominaliśmy, przedmiotem wiary są także prawdy, mówiące o treści życia wewnętrznego w Bogu, czyli o życiu Boga tylko właściwym. Postuluje się jednak jasne określenie przedmiotu wiary, wyczerpującą odpowiedź na pytanie, w co mamy wierzyć. Po drugie wiara tylko wtedy jest aktem takim, jakiego domaga się Kościół, kiedy wiemy, że Bóg jest, wiemy, że Bóg jest prawdziwym oraz wiemy, że Bóg powiedział ściśle określoną treść i znamy owa treść. Rzecz jasna, aby wszystkie wyżej wymienione warunki wiary uzyskać, trzeba wkroczyć na drogę wiedzy, oprzeć się na rozumie, sięgnąć po argumenty rozumowe.

Istotnie, dowody rozumowe nie odwołują się bezpośrednio do szeregu prawd Objawienia, nie służą doprowadzeniu ich do logicznej bądź empirycznej rzeczywistości. Ich rola jest inna. Służą wyłącznie przygotowaniu i podbudowaniu aktu wiary sprawdzenia, jednak, iż sady wiary, mimo iż nie, wynika ona z bezpośredniego poznania, uznać trzeba za sądy jak najbardziej racjonalne.

II.

PROBLEMEM decydującym o akcie wiary religijnej jest problem istnienia Boga, mogącego objawić się człowiekowi i zażądać wiary we własne świadectwo. Stwierdziłszy, że jest to problem rozumowy. Ale w odpowiedzi, na to stwierdzenie może nam ktoś wskazać szereg przykładów, wykazujących niepowodzenie prób rozstrzygnięcia tego problemu wyłącznie na drodze rozumowej. Wiemy zresztą sami, jak trudną jest rzeczą uzasadnić tezę o istnieniu Boga komuś, kto tej tezie zdecydowanie przeczy.

Nie wynika stąd jednak wcale, jak chcieli konsekwentnie moderniści, aby oparcia dla aktu wiary należało szukać poza rozumem. Albowiem stwierdzenie, iż problem istnienia Boga jest problemem rozumowym, nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, iż jest to problem wyłącznie rozumowy.

„Już dawno powiedziano — pisał Ludwik de Bonald w swoim „Demonstration philosophique“ — że gdyby twierdzenie geometryczne, iż trzy kąty trójkąta są równe dwóm prostym, pociągało za sobą jakieś zobowiązanie moralne, byłoby zwolennikiem i kwestionowane”. Otóż przyjęcie istnienia Boga takiego, jakim go widzi katolicyzm, niewątpliwie pociąga za sobą właśnie owe zobowiązania moralne, o których pisał de Bonald. Nie więc dziwnego, iż rozwiązanie problemu istnienia Boga wymaga nie tylko operacji myślowych, ale i pewnej gotowości do przyjęcia tezy o Jego istnieniu oraz skłonności woli ku tym wartościom, które owa teza wnosi w życie ludzkie.

Widzimy często, jak ludzie starają się nie dostrzegać jakichś, które tak łatwo dostrzec i sprawdzić, gdyż z tych czy innych względów są zainteresowani w tym, aby owe zjawiska nie istniały. Historia dostarcza nam wielu przykładów wiekami trwających negocjacji, dla względów niewiele mających wspólnego z racjami rozumu, teorią naukowych zda się całkowicie pewnie uzasadnionych.

Zapytajmy się jednak, czy w wypadku, gdyby teza o istnieniu Boga, bądź to w charakterze teorii naukowej, bądź jako koncepcja filozoficzna, została uznana powszechnie za prawdziwą, problem istnienia Boga zatraciłby z katolickiego punktu widzenia swój charakter etyczny i woluntary? Czy wówczas można by go już było traktować wyłącznie w kategoriach racjonalnych?

„Jakże daleko jest od poznania Boga do kochania Go” — powiedział kiedyś Pascal. Myślę, że słowa te są słuszne odnośnie egzystencjonalnej funkcji obiektywnego poznania, które daje nauka czy filozofia. Poznanie obiektywne, naukowe czy filozoficzne, prowadzi tylko do abstrakcyjnego pojęcia Boga jako absolutnego ens a se. A ten Bóg obiektywnego poznania, operującego społecznie uznanymi kryteriami prawdziwości, dającego wiedzę o wartości obiek-

(Dokończenie na str. 7)

Ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski	
DZIEJE PAWŁA Z TARSU	
Wydanie drugie	
poprawione i uzupełnione	
str. 685	
Oprawa płócienna	zł 105.—
Oprawa kartonowa	zł 75.—
Jan Dobraczyński	
LISTY NIKODEMA	
str. 408	zł 36.—
Klemens Aleksandryjski	
CZY CZŁOWIEK BOGATY	
MOŻE BYĆ ZBRAWIONY	
Przekład z greckiego oryginału	
ks. prof. dr. J. Czujka	
str. 53	zł 9.—
Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX”,	
Mokotowska 43, Warszawa, za za-	
liczeniem pocztowym lub do wpła-	
ca na konto PKO Nr I-8513 z dołaniem	
zł 3.— na koszt przesyłki.	

„ŚLUBUJEMY”

FILM *Ślubujemy*¹⁾, poetycki reportaż z warszawskiego Złota Młodzieży, jest przykładem rzetelnej, przemyślanej roboty zespołowej. Jasna, dobrze i konsekwentnie przeprowadzona koncepcja filmu, jednolity styl, poziom rzemiosła filmowego nadają mu wysoka rangę artystyczną. Film, unikając czystości i wewnętrznej logiki poszczególnych fragmentów, wysokim poziomem i wsłonięciem wszystkich elementów.

Reportaż ten jest próbą oddania czysto filmowymi środkami ogólnej atmosfery warszawskiego Złota. Już w ogólnym założeniu widać słuszny wysiłek całego zespołu realizatorskiego, aby uniknąć wszelkiej „topologicznej” deklaracyjności. Realizatorzy z jednej strony zaufali wymowie autentycznego materiału kronikarskiego, z drugiej — nie dali się uwieść jego różnorodności. Wskutek tego zawartość ideowa filmu wynika z całości, jest przeżyta przez widza, nie zostaje połana w formie sloganowej, przy trafnej zaś selekcji materiału — stała się jasna, ponieważ każdy szczegół spełnia rolę komentarszą.

Scenariusz jest bardzo przejrzysty. Jest to szkic przebiegu Złota, ale szkic syntetyzujący i precyzyjnie komponowany. Mówią w nim głównie zdjęcia, towarzyszą im słowa wierszy i muzyka; teksty poetyckie są wtopione w film.

Od pierwszych scen, dzięki świetnemu montażowi, zostaje uchwycona rażąca atmosfera spotkania — życiowa całość całej Polski dla młodych delegatów. Film od razu wprowadza w klimat zjazdu. Ekspozycja, wyjaśnienie — kto, skąd i po co — jest dobrze pomyślana. Ukazujące się kolejne sceny ze Złota, twarde poważnie i roześmiane, poszczególne fragmenty imprez i uroczystości są podporządkowane ogólnej koncepcji: drama targicznej, ilustrują jakby słowa wierszy i piosenek. Kulminacyjny moment ślubowania i poetyckie „intermezzo” odrywające widza od tere- nu Złota — to szczytowy moment wzruszeniowy filmu, syntetyzujący sens i cel Złota, sens wspólnej pracy wszystkich ludzi budujących na morzu i polach spółdzielni, w wielkich ośrodkach przemysłowych i rozbudowujących się miasteczkach — nową Polskę.

O wymowie filmu i jego wysokim poziomie artystycznym decydują doskonałe zdjęcia Sprudina i Samucewicza. Jednolity styl plastyczny, udana kompozycja klatki, dobra budowa scen zbiorowych i bardzo piękne plenerowe zdjęcia „intermezzo” (morze, pola) świadczą o wysokim artystycznym poziomie operatorów. Ich twórczy wkład w film wydaje się decydujący. Montaż — logiczny i konsekwentny, dający wrażenie swobody,

płynności i jasności toku narracji, wpływa również na czystość budowy filmu.

Koturnowy nieco i patetyczny w samym założeniu ton filmu został inteligentnie rozładowany i wycieniony przez włączenie, chwytanych na gorąco, podpatrzonych scenek — zblizających uczestników Złota. Dzięki temu najbardziej oficjalne relacje z niemniej oficjalnych uczestników mają ciepło zwykłych, radosnych przeżyć. Skupiona buzia małego do boszyska towarzyszącego scenom składa nie wieńców pod pomnikiem poległych bohaterów, zabawnie kokieterijna mina dziewczyny rozmawiającej z bu downiczymi Pałacu Kultury, polska kująca z radości dziewczynka w czasie uroczystego powitania uczestników Złota, przyniła pewność siebie dzieciaków obejmujących żołnierzy, zabawna powaga malca odbierającego razem z Prezydentem pochód na Placu Konstytucji — to dobre szejki gółki nadające filmowi atmosferę naturalności i prostoty.

Wszystkie te fragmenty tuszują „literackość” i pewną pretensjonalność koncepcji filmu. Założenie poetyckiej syntezy filmowej z tego rodzaju imprezy, jaką był Złot — kryje w sobie — i widać to mimo inteligentnego przeprowadzenia tej koncepcji — niebezpieczeństwo jakiejś ogólnikowości i powierzchowności.

Mimo przemyślanej budowy i wiodącego, dającego dużą satysfakcję, doskonałego rzemiosła filmowego, film ma chwilkami (przez gimnastyczne — pochód na pl. Konstytucji) wadę nadmiernego upaiania się feerycznością imprez, zachwyty dla uroku zewnętrznych manifestacji. Tam, gdzie realizatorom zależało, aby każdy szczegół miał charakter uogólnienia — film ma niesiłę poetyckiej syntezy, tam jednak gdzie scenariusz przechodzi w kronikarską relację z manifestacji i uroczystości — jest on powierzchowny i sprawczy dawco beznamiętny.

Wartość plastycznej strony filmu psuje bardzo kapryśna projekcja, (albo niejednolity poziom przeprowadzonych kopii). Entuzjaści filmu oglądający go kilkakrotnie twierdzą, że za każdym razem kolory filmu były „inne”. Rolę, którą ten dobry i ambitny film powinien spełnić, ostatecznie także moment, w którym wrowa dzono go na ekran. Film o młodzieży i dla młodzieży wyświetlany w okresie wakacyjnym nie trafia do tej publiczności, dla której był zrealizowany.

Nie pomaga nawet połączenie go z reportażem zawodów bokserskich, które zresztą także przewijałyby głównie młodzież. Do obejrzenia filmu zniechęca również uletka-program utrzymana w patetycznym i koturnowym stylu, będąca przykładem złej, deklaracyjnej publicystyki — której tak słusznie wyrzekł się sam film.

Lczcz

1) *Ślubujemy* — Film kolorowy o Złocie Młodych Przdowników w Warszawie — scenariusz i reżyseria: Jerzy Bossak, zdjęcia: Olgierd Samucewicz, Sergiusz Sprudin i in. Produkcja WFD 1952.

Andrzej MICEWSKI

PROBLEM PAŃSTWA

KATOLICKIE ZASADY
NAUKI O PAŃSTWIE

(fragment większej całości)

OJCOWIE Kościół, w szczególności św. Augustyn, z późniejszych zaś myślicieli chrześcijańskich św. Tomasz z Akwinu, zajmując się w swoich pismach problemem państwa i jego wzajemnych stosunków z Kościołem, za punkt wyjścia rozważań brali naturę człowieka stworzonego do życia „towarzysk ego”. Ostatecznie więc przyczyną całego procesu rozwoju państwa leży w istocie jednostki, w jej naturalnym popędzie do łączenia się i współżycia z innymi jednostkami. Św. Augustyn tak mówi o rodzaju ludzkim: „*Ne ma nie tak niezgodliwego, jako ten rodzaj po upadku grzechowym, a mi to nie ma nic tak towarzyskiego z natury*” (De civ., XII, 28 cyt. z „Kościół a Państwo u św. Augustyna, ks. dr Jan Czuj, Lwów 1913). Stąd też na państwo z punktu widzenia dektryny katolickiej, wychodząc z podstawowej przesłanki „towarzyskiej” natury ludzkiej, trzeba patrzeć jako na naturalny i konieczny związek społeczny.

Najpełniejsze określenie państwa dane przez św. Augustyna mieści się w słowach: „*pactio nasy, obdarzonej rozumem, która przez wspólny udział w sprawach ją obchodzących, łączy się i jednoczy w całość*” (XIX, 24 cyt. jak wyżej).

Podstawę tego zjednoczenia ludzi w państwie widzi św. Augustyn w cnotce sprawiedliwości. Sprawiedliwość bowiem zapewnia, że w państwie będzie realizowana „*wspólna sprawa ludu*” (II, 21 cyt. jak wyżej).

Bez cnoty sprawiedliwości nie ma wg św. Augustyna mowy o państwie w pełnym tego słowa znaczeniu. Państwo bowiem, to „*res populi*”. Jeśli zaś w społeczeństwie nie ma sprawiedliwości, to nie może tam być mowy „*o wspólnej sprawie ludu*”, a więc o państwie.

Jednakowoż św. Augustyn nie odmawia np. starożytnemu Rzymowi tytułu państwa, choć musiał mieć zasadnicze zastrzeżenia co do jego sprawiedliwości, zwłaszcza wobec przesłanki dowodu chrześcijaństwa w pierwszych trzech wiekach. Z tego widać, że św. Augustyn, z dużym poczuciem rzeczywiistości, w określeniu państwa rozróżnia dwa warianty. Mówi on o państwie jako: „*o połączeniu masy obdarzonej rozumem, która przez wspólny udział w sprawach ją obchodzących łączy się i jednoczy w całość*”, nie przesadzając w tym określeniu w jakich sprawach, dla jakich celów następuje to zjednoczenie. Jeśli się ono odbywa dla doczesnych celów, dla ziemskiego dobrobytu, który wcale nie jest złem, już jest mowa o państwie wg św. Augustyna. Drugim wariantem określenia państwa u św. Augustyna jest państwo o „*o prawdziwej sprawiedliwości*”, „*vera iusticia*”, której idee i zasady zrodziło dopiero chrześcijaństwo określając stosunek człowieka do Stwórcy i do bliźnich. Do pryncypa państwa przykłada więc św. Augustyn dwie miary. Ale, co należy podkreślić wyraźnie, z tego wywodów wynika, że św. Augustyn oceniał państwo realizują-

ce cele człowieka, traktował je, jako naturalną i konieczną społeczność.

Przedstawiając bardzo krótko poglądy św. Augustyna pominiemy charakterystyczne dla niego konfrontowanie pojęcia: „*państwa Bożego*” i „*państwa ziemskiego*” oraz łączący się z tym problem pojmowania Kościoła, jako zagadnienia nie wiążące się koniecznie z naszymi rozważaniami, a przejdziemy do zagadnienia celów państwa wg św. Augustyna. Wymieniane przez św. Augustyna cele państwa pozwalają się zsyntetyzować w pojęciu „*pokoju ziemskiego*”, „*pax terrena*”. Pokój ten oznacza po prostu pożytek w ramach państwa z nastawieniem dobrej woli. „*Pokój ziemski*” św. Augustyna obejmuje wszystkie cnoty obywatelskie, które zapewniają właściwe stosunki między rządzącymi i rządzonymi w państwie i które składają się na możliwość należytego funkcjonowania państwa.

Przy omawianiu celu państwa trzeba podkreślić, że św. Augustyn silnie akcentuje autonomię celu jednostki. Pań two nie jest celem samym w sobie, ale cel jego powstaje przez stowarzyszenie jednostek dążących do swego celu osobowego, to jest do Boga.

WARTO następnie zacytować pogląd, który na podstawie wyżej zarysowanych rozważań św. Augustyna o państwie wypowie dzieł ks. dr Jan Czuj w pracy wydanej w 1918 r. „*Kościół a Państwo u św. Augustyna*”. A mianowicie czyta my tam: „*Upaść mu i tu erzenie, że u św. Augustyna państwo chrześcijańskie jest państwem prawdziwym. Udowodnił, że Augustyn przyznaje rację bytu i znaczenie państwu. I „Civitas terrena”, posiada według niego wartość, chociaż tylko względną. „Pax terrena”, pokój ziemski, o którego utrzymanie stara się państwo na podstawach „sprawiedliwości naturalnej”, także nie jest bez wartości, a „Kościół” czerpie z niej pożytki, dopóki pielgrzymuje po ziemskim padole*”.

Poglądy św. Augustyna w tej sprawie były wypowiedziane przed XV wiekami i miały za podstawę rzeczową stosunki w ówczesnej epoce. Nie sposób jednak nie podkreślać dzisiaj, w naszej epoce społeczeństw różnicowych wewnątrz państwa, pod względem światopoglądu, znaczenia jakie przy przypisywał Augustyn ziemskiemu doczesnym celom, które realizuje państwo, zrednie ze swym charakterem i przeznaczeniem.

Jeśli chodzi o wzajemne stosunki Kościoła i państwa to poglądy św. Augustyna można tu streścić do twierdzenia G. Fr. Hertlinga, który tak pisał w książce nt. „*Augustinus*”: „*Państwo i Kościół pozostają do siebie w stosunku wzajemnym, wzajemnie są sobie potrzebne, a przez to pierwszorzędnie i decydująco służą wspólnej sprawie. Kościół nie ma w rzeczywistości tożsamości z państwem*”.

Św. Augustyn wyraźnie rozumiał autonomię i wielkość celu państwa i nie widział konieczności teoretycznej jego konfliktu z Kościołem, reali-

zującym swój cel nadprzyrodzony. Odrębność celu i dobra wola wzajemna mają być czynnikami niesprzecznymi.

PRZEJDŹMY teraz do poglądów św. Tomasza z Akwinu. — Czym jest państwo u św. Tomasza? Jest ono jednością ludu (Unitas ordinis), która powstaje przez złączenie wielu ludzi dla jakiegoś jednego wspólnego celu. — Władza polityczna i rząd podług św. Tomasza ustanowione są przez prawa ludzkie. Prawo ludzkie zaś ma swoje źródło w prawie naturalnym, które jest odbiciem prawa wiecznego. W ten sposób prawo ludzkie i rządy wiążą się z Bogiem, lecz w tym rozu mieniu, w jakim wszystko rodzi się w Bogu. Poza tym prawo ludzkie zależy nie jest od woli ludzi, do nich należy rozmaite jego zastosowanie różniące się bardzo do czasu, miejsca, środków i okoliczności i stąd właśnie pocho dzi różnaitość form rządu.

Cóż wobec tego stanie się z gloszoną jeszcze przez św. Pawła zasadą, że wszystka władza pochodzi od Boga? Św. Tomasz traktuje ów przedmiot z ostrożnością. Rozróżnia on władzę samą w sobie i władzę w pewnych warunkach. — Otóż to, co pochodzi od Boga, to jest sama zasada władzy, władza „in abstracto”, lecz stąd jeszcze nie wynika, żeby Bóg przez szczególny akt woli wyznaczał poszczególnych władców i dlatego to instytucja polityczna stoi w zależności od prawa ludzkiego.

Atrybutem zwierzchnictwa jest dla św. Tomasza władza wydawania praw. Władza ta jest początkowo w rękach wszystkich, w rękach jakiejś grupy mniej lub bardziej licznej. — Książę zatem czy urzędnik stanowi prawa jako przedstawiciel gromady, źródło władzy związane jest ściśle z pojęciem społeczności, przy dobrym rządzie wszyscy powinni mieć udział w rządzeniu. — Ciermy rządu mogą być różne. Lecz jakakolwiek byłaby ta forma w jakimś kraju, istotna różnica spotykana stale wszędzie, to różnica pomiędzy rządem sprawiedliwym i niesprawiedliwym.

W oparciu o sformułowania Ojców Kościoła, a szczególnie św. Augustyna i św. Tomasza, ujęte po wielowiekowym rozwoju przez współczesny Kościół, musimy zadać sobie trud ogólnego choćby przestudiowania podstawowych zasad filozofii katolickiej w odniesieniu do nauki o państwie. Wychodzą one z założenia celu społecznego.

Specyficzna cecha społeczeństwa jest cel, którym jedne społeczeństwa różnią się od drugich. Ze względu na cel rozmaite mamy stowarzyszenia. Celem społeczeństwa cywilnego (państwa) są wszystkie te dobra, które są konieczne zbiorowi jednostek ludzkich, aby mogły żyć i rozwijać władze swego ducha i ciała. Celem tym jest dobro ogólne (wspólne dobro doczesne). Dalsza niezbędna cecha społeczeństwa cywilnego, to konieczność łączącej je więzi organizacyjnej i władzy zwierzchniej. Dopiero społeczeństwo cywilne względnie polityczne

czyli państwo jest społeczeństwem doskonałym w pełnym tego słowa znaczeniu i samo przez się wystarczającym czyli posiadającym cel wspólny i wszystkie środki niezbędne do osiągnięcia tego celu. Państwo za tem (na tle chrześcijańskiej nauki o państwie) to naturalny i trwały zespół ludzi związany ze sobą moralną więzią wypływającą z wrodzonych na turze ludzkiej dążeń, łącznie z najwyższą władzą zwierzchnią, będącą najwyższym wyrazem tych dążeń. Społeczeństwo to jest samowystarczalne, gdyż posiada wszelkie środki po temu, aby naturalne dążności jak najwszechstronniej rozwinąć i wszelkie potrzeby duchowe i materialne tak pojedynczych jednostek jak przede wszystkim życia zbiorowego całkowicie zaspokoić.

Tak Bóg urządził świat, iż człowiek musi być w społeczeństwie, Bóg jest sprawcą natury ludzkiej i tego wszystkiego co ona w sobie zawiera. Ponieważ zaś natura i wszelkie jej skłonności swój należyty rozwój mogą znaleźć tylko w społeczeństwie, a więc Bóg sam chciał istnienia społeczeństwa czyli, że sam jest jego sprawcą. — „*Est igitur homini naturale quod in societate multorum vivat*” mówi św. Tomasz (De Regimine Principum, liber 1, cap. 1.) „*Natura ne autem est homini ut sit animal sociale et politicum, in multitudne vivens magis etiam, quam omnia alia animalia quod quidem naturalis necessitas declarat*” (De Regimine Principum lib. 1, cap. 1).

„*Natura każe człowiekowi być w społeczeństwie, dowodem tego jest dar mowy, liczne wrodzone skłonności i dobra liczne, których człowiek koniecznie potrzebuje do zachowania i rozwoju swego życia, a których sam zdobyć nie mógłby, lecz tylko w połączeniu z innymi, czyli żyjąc w społeczeństwie*”. — (Lectn XIII, Encykl. Diuturnum illud) „*Człowiek — mówi św. Tomasz — z natury jest zwierzęciem społecznym, stąd ludzkie w stanie niewinności żyłoby społecznie... po które, ponieważ jeden człowiek posiadałby większą wiedzę i sprawiedliwość, niż inni, nieodpowiednia byłoby rzeczą, gdyby tego nie obraceć na korzyść drugich według tych słów św. Piotra (1 Petr. IV, 10) „Każdy jako wziął łaskę, usługując ją jeden drugiemu”. Stąd św. Augustyn w dziele „De civitate dei” Księga 19, rozdział 14, twierdzi, że sprawiedliwi przewodniczą innym nie dla ambicji i żądy panowania lecz z obowiązku i dla pożytku drugich — w rozdz. zaś 15 zaraz dodaje: „*Tak przysięga porządek naturalny, tak Bóg stworzył człowieka*”.*

Do społeczeństw naturalnych zalicza filozofia chrześcijańska także rodzinę i szereg. Jednakowoż ani rodzina, ani szereg nie są zdelne zasnokoic pomyśle społecznego, który Bóg wszczepił w naszą naturę. Nie są zdolne zaspokoić, ponieważ cel ich nie wyczerpuje działalności człowieka w całej pełni. Zaspokoić te popędy jest w stanie tylko państwo. „*Połączenie wielu szeregów (mówi Arystoteles) stanowi państwo, społeczeństwo*”.

„*człowiek samowystarczalne, które powstało pod wpływem potrzeb życia, istnieje, aby pomagać innym. Każde państwo pochodzi z natury tak samo, jak rodzina i szereg. Faktycznie ono jest cieniem tamtych*” (Politic. lib. I, cap. 1).

Trzeba tu podkreślić nacisk, jaki kładą katolickie zasady nauki o państwie na dwie jego cechy. Państwo jest naturalnym oraz koniecznym związkiem społecznym. Naturalnym, bo prowadzi człowieka do zaspokoienia jego naturalnego instynktu społecznego i potrzeb społecznych. Koniecznym, bo pierwsze naturalne związki społeczne, rodzina i szereg, nie mogą w pełni zaspokoić społecznej natury i społecznych potrzeb człowieka. A więc państwo jest konieczne do zaspokoienia tych potrzeb. Wymaga ono też koniecznie autorytetu obdarzonego mocą nakazywania wszystkiego, co do utrzymania i dobra państwa jest potrzebne.

DALSZĄ sprawą istotną dla katolickiej nauki o państwie jest kwestia urządzeń i pozytywnych praw ludzkich.

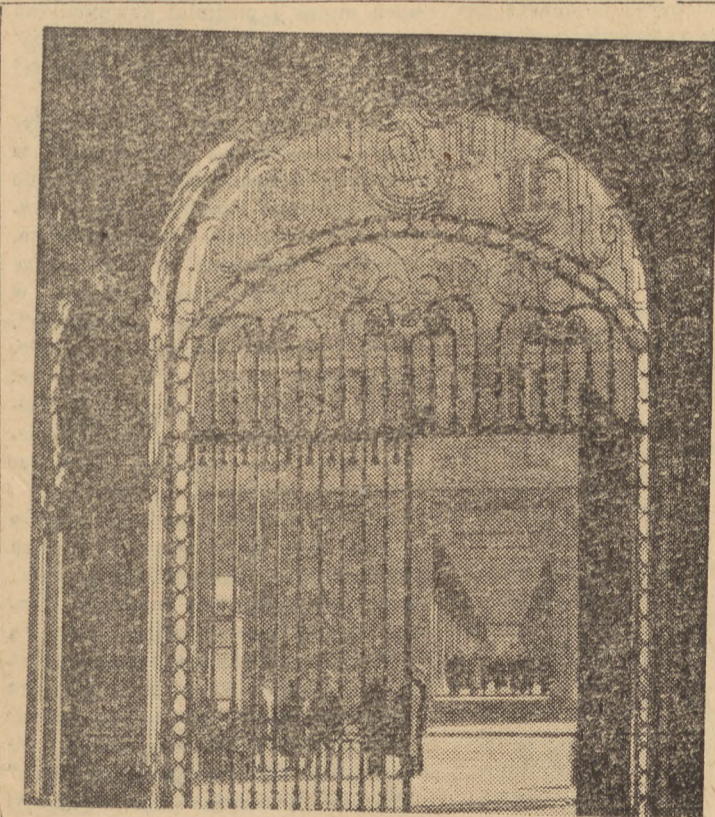
W każdym społeczeństwie widzimy dwie kategorie urządzeń i pozytywnych praw ludzkich. Jedne z nich złączone są z prawem natury tak jak złączone jest wniosek ze świci przez słankami, drugie dają jedynie bliższe określenie prawa natury „*per modum determinationis*”.

Do pierwszego rodzaju praw należą: zasady sprawiedliwości, która normują stosunki wśród ludzi, prawa indywidualne jednostek, obowiązki, które odpowiadają tym prawom, tutaj należy zasada poważy i hierarchii, bez której wszelkie społeczeństwo byłoby kierowane przez jedną najwyższą władzę. Pytanie, jednak, jakim ma być ustroj społeczeństwa — dotyczy już innej kategorii. Decydują w tym wypadku już nie prawa stanowiące konkretnie prawa natury, ale wyprowa dzające się z niego jedynie „*per modum determinationis*”. Człowiek wydający te prawa — prawa czysto ludzkie — decyduje o ich treści. Od niego będzie zależeć konstytucja obowiązująca w danym państwie i rodzaj istniejącego tam ustroju, który odpowiednio do okoliczności może być taki albo inny.

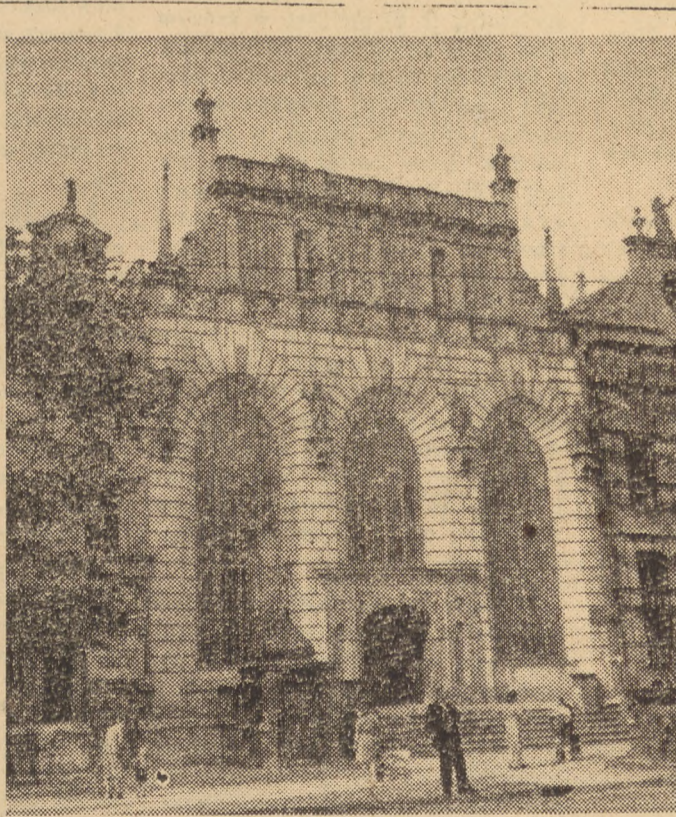
Takim właśnie prawem jest zasada, ażeby wszyscy ludzie żyli w społeczeństwie i aby to społeczeństwo było kierowane przez jedną najwyższą władzę. Pytanie, jednak, jakim ma być ustroj społeczeństwa — dotyczy już innej kategorii. Decydują w tym wypadku już nie prawa stanowiące konkretnie prawa natury, ale wyprowa dzające się z niego jedynie „*per modum determinationis*”. Człowiek wydający te prawa — prawa czysto ludzkie — decyduje o ich treści. Od niego będzie zależeć konstytucja obowiązująca w danym państwie i rodzaj istniejącego tam ustroju, który odpowiednio do okoliczności może być taki albo inny.

Sumując więc nasze dotychczasowe uwagi, państwo jest społecznością naturalną, która powstaje wszędzie i koniecznie pod wpływem skłonności i potrzeb natury ludzkiej. Forma państwa jest zmienna i zależy od warunków historycznych. Państwu, koniecznie jest autorytet, władza państwowa, która bierze rzecz in abstracto-pochodzi bezpośrednio od Boga. Kto ma być posiadaczem czyli podmiotem tej władzy nie jest określone przez naturę, lecz przedstawione rozwojowi historycznemu, czy też woli narodów.

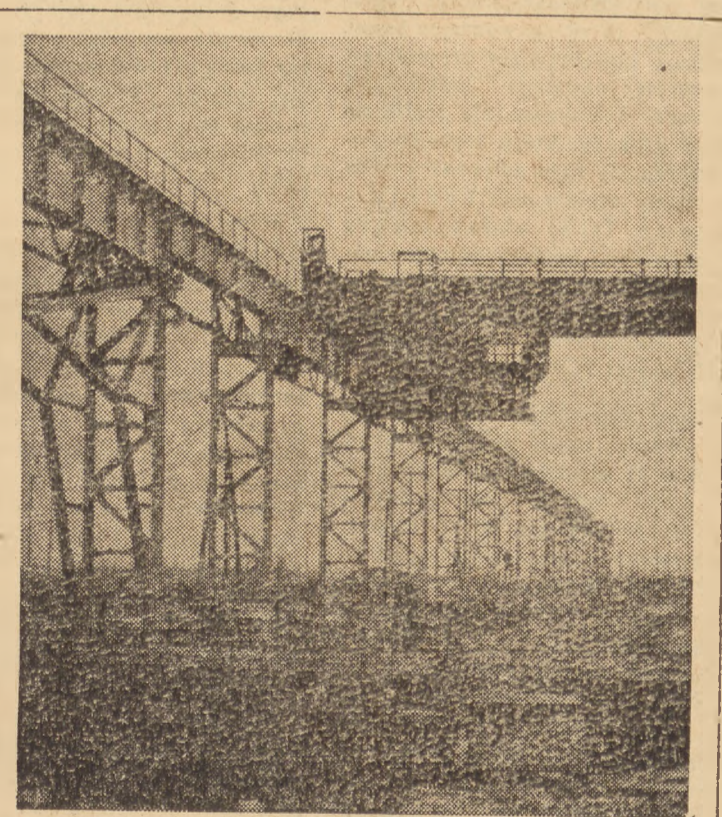
(Dokończenie na str. 11)



M. D. M.



Dwór Arthusa w Gdańsku



Nowa Huta

fol. C. A. F.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (34)

K O R E A J E S T B L I S K O

LITERATURA nie powinna być publicystyką, ale powinna się niejednemu od publicystyki nauczyć. Przede wszystkim: czujnej wrażliwości w docenianiu i przeżywaniu problematyki pozornie odległej od spraw najbliższych i codziennych, a przecież bezpośrednio z nimi związanej.

Do tej pory w naszej literaturze pięknej nie mieliśmy kart poświęconych wielkiej sprawie Korei. Znamy i pamiętamy poszczególne wiersze, jak np. wiersz Romana Bratnego „Korea nazwij swój dom“ czy tomik Witolda Wirpszy „Dziennik z Koro“, a po niej książka Lucjana Prackiego „Korespondent wojenny z Korei donosi...“. Dalej: broszura H. Krzywdzianki „Widziałam Koreę“ i praca E. Priestera „Byłam w Korei“. Dotarła także do nas piękna książka tragicznie zmarłego Yves Farge'a pt. „Temoignage sur la Chine et Corée“, wydana ostatnio w tłumacze-

niu polskim przez „Czytelnika“. Mogliśmy także otrzymać w klubie Międzynarodowej Prasy i Książki dwie niemieckie prace zbiorowe: „Die Wahrheit über Korea“ oraz „Entlaug der Austerfer des Bürgerkriegs in Korea“. Publicyści zdali egzamin czujności.

Tym ważniejszy stawał się postulat podjęcia tego tematu przez literaturę piękną. Zadanie zrealizowania tego postulatów wzięł na siebie wybitny publicysta i literat — Marian Brandys. Jego książka „O dzieciach koreańskich w Polsce jest pierwszą pozycją prozatorską wpisującą problem koreański na karty polskiej literatury.

Jest to — obok „Spotkań wioskich“, „Początku opowieści“ i „Wyprawy do Arteku“ — czwarta książka Mariana Brandysa i jak wszystkie jego książki stanowi ambitną i zwycięską próbę stworzenia zbeletryzowanego reportażu, który nie bawiąc się w jałowe dywagacje klasyfikacyjno-szufladkowe — traktować możemy i będziemy jako świadome swojej odrębności gatunkowej dzieło literatury pięknej.

„Dom odzyskanego dzieciństwa“ ukaże nam bliskość sprawy koreańskiej za pośrednictwem opisu konkretnego przejawu troski o los ma-

* Marian Brandys: Dom odzyskanego dzieciństwa. Nasza Księgarnia, Warszawa 1953, str. 232.

łych Koreańczyków, którzy w Gołotczyźnie — dzięki realnemu rozumieniu przez rząd Polską Ludowej postulatów internacjonalizmu — znaleźli swój drugi dom, wrócili do odebranego im przez amerykańskich agresorów dzieciństwa. Książka Mariana Brandysa ukazuje nam grupę dwustu dzieci koreańskich w ich trudnym momencie porzucania ziemi ojczystej, ich wędrówkę do odległej i nieznannej a opiekuńczej Polski, ukazuje trud wrastania w nowe życie, aklimatyzowania się w nowych warunkach, przygotowywania się do nowego życia z ciągłą myślą o powrocie do wolnej, zawsze kochanej rodzinnej Korei. Jest to barwna i głęboko wzruszająca opowieść o dzieciństwie skrzywdzonym, dzieciństwie brutalnie wydartym i dzięki konkretnemu rozumieniu zasad internacjonalizmu wśród milujących pokój narodów — powracającym do swojej prostej radości i pogody.

Sens ideowy „Domu odzyskanego dzieciństwa“ polega przede wszystkim na artystycznym wpisaniu w reportażowy tematycznie konkretny ogólny, lecz na język szczegółowych faktów przetłumaczonej zasady internacjonalizmu i humanizmu, zasady pokojowego współżycia narodów, zasady zdecydowanej walki z okrucieństwem wojny imperialistycznej,

zdecydowanej walki o wolność i o pokój.

Marian Brandys wpisał te prawdy nie w publicystyczną argumentację polityczną, nie w ogólną analizę sytuacji międzynarodowej, lecz w pełne wymowy obrazy z życia dzieci koreańskich, w ich wspomnienia, w ich dziecięce a jakże gorzkie i dojrzałe smutki, w ich z trudem odzyskiwane radości. Nie umniejsza to w niczym konkretnej siły politycznej jego książki. Przeciwnie, wzmacnia i rozszerza zakres jej oddziaływania przez wielki ładunek emocjonalny artystycznej relacji pisarza o przeżyciach nowych obywateli Gołotczyzny, pogłębia prawdę ogólnej zasady przez ukazanie szczegółów, zbliżeń, drgających ciepłem wzruszenia faktów, po prostu przez wyważoną, mądrą i szczerą mowę serca.

Jest wielkim osiągnięciem pisarza, że nasyconie książki tak intensywną treścią emocjonalną, przepojone jej tak żywymi i angażującymi — ale serce wzruszeniami w niczym nie zamazało, lecz wszystkim wzmocniło wyrazistość oceny moralnej i oceny politycznej bolesnych wydarzeń w bliskiej Korei. Książka oskarża, książka walczy, ukazuje tragedię tej walki i pełną nadzieję zwycięstwa, nie pozostawia żadnych niedomówień natury politycznej i jednocześnie wzrusza, wiąże sercem

i opisywanymi sprawami. W tej jedności organicznej i w artystycznym jej wyrażeniu leży główna siła „Domu odzyskanego dzieciństwa“.

Autor, realizując postulat spejrzenia na sprawy Korei sercem, jednocześnie nauczył serce pamiętania o konkretnej wiedzy politycznej. Jego młodzi bohaterowie, będąc dziećmi łasymi na dziecięcą radość, dziećmi, w których działają najnaturalniejsze potrzeby śmiechu i zabawy, są jednocześnie oskarżycielami i bojownikami, są symbolami sprawy koreańskiej.

Przypomnijmy sobie choćby epizod z „nalotem“, gdy w pogodę sali jadalni gołotczyńskiej wtargnął przebrańcy, histeryczny krzyk — „Pi-hengi! Pi-hengi! (Samoloty! Samoloty!)...“ — wybuchnął dziki popłoch. Trzasnęły odsuwane stolki. Mała Kim-Che-Su upadła tłukąc całą zawartość trzymanej w rękach tacy. Dwieście dzieci, zatykając palcami uszy i ciężko dysząc, przygłębiono do desek podłogi. W śmiertelnej ciszy, która nagle zapadła, nad Domeną Dziecka przetoczył się warkot lecącego samolotu.

Nie trzeba komentarzy. Tak oskarżają dzieci tych, którzy słowo „samolot“ nadali wartości synonimu zbrodni. Tak oskarża ich i pisarz, walczący o pogodną dzieciństwo dla wszystkich.

Przeżyjmy dalej.

„Jedynie polscy wychowawcy zdawali ochłonąć z wrażenia. Dzieci zaczęły się ostrożnie podnosić z ziemi. Ich poszarzałe twarzyczki były zmienione nie do poznania.

Pierwsza ruszyła z pomocą Parypińska. Wiedzioną odruchem matczynego serca, podszła do „Piotrusia“ ujęła obiema rękami jego czarną głowinę i przycisnęła ją do swego niebieskiego fartucha.

— Piotrusi, bój się Boga, Piotrusi! Wówczas stało się coś dziwnego. Pięcioro, nie, dziesięcioro innych brunatnych dzieci skoczyło ku grubej kuchence i cały wianuszek czarnych główek poczęł się tulić do jej załużonego roboczego fartucha.

A Parypińska objęła te wszystkie główki matczynymi ramionami i przycisnęła je mocno do siebie. I chyba pierwszy raz w życiu przyrodzony rezon opuścił tę dzielną kobietę. Z rumianych policzków odbiegła wszystkie krew, a wargi rozdygotowały się jak w febrze. — O, moje biedaki kochane... O, moje niebożątka... o, moje biedaki kochane...

A koreańskie dzieci wtuliły się co raz mocniej w niebieski fartuch kucharki, który był tak samo ciepły jak czarne spódnice ich zamordowanych matek i pachniał dawnymi czasami, w których słowo „pi-hengi“ nie miało jeszcze swego strasznego treści“ (str. 33-34).

Tak ukazana jest droga odnajdywania wspólnoty ludzkich serc w trudnych dniach walki o odzyskanie skrzywdzonego zbrodnia dzieciństwa. Długi cytat jest tu przykładem, których wiele można by jeszcze przytoczyć. Można by opowiedzieć w streszczeniu historię „Puszki“, dzieje piękni Li Wanga, wspomnienia z walk Li-Chlo-Sika czy przeżycia I-Czun-China. Każdy przemówiłby z jednakową wyrazistością. Wystarczy więc przykład, który zawiera się w historii „pi-hengi“.

Jest to przykład mądrego pisania sercem. Jest to jednocześnie próbka zwycięskiej techniki mówienia obrazem. Połączenie tej mądrości pisania sercem z opanowaną techniką zindywidualizowanego w sobie obrazu, a jednocześnie obrazu będącego pisarskim symbolem — oto dokładniejsze wyjaśnienie siły, dzięki której „Dom odzyskanego dzieciństwa“ Mariana Brandysa staje się książką o wysokiej randze ideowo-artystycznej.

»Publicystyka w kraju budującym socjalizm«

prasowej. Stan naszej fachowej literatury — oplakany. Niech kto spróbuje kupić „Niemy“ Osmańczyka, jeśli ich na czas nie zdobył. Brak nam współczesnych encyklopedii, brak wydawnictw informacyjno-dokumentalnych, najnowszych statystyk, chronologii, dzieł z historii najnowszej i współczesnej. Sama sprawa Rosenbergów nie doczekała się jeszcze pod tym względem źródłowego opracowania dla dziennikarza-publicyści.

Nasz czytelnik staje się z każdym dniem bardziej wymagający. Sztampa, czasem nieczłony żargon, który się jeszcze pleni na spalonych naszych piśmie mimo wielkich wysiłków czytonych dla zwalczania tych plag, jest, moim zdaniem, w dłużej mierze spowodowany brakiem dostatecznej wiedzy fachowej piszących. Gdy publicysta pisze na temat, który zna tylko powierzchownie, do którego brak mu pełnowartościowej dokumentacji, to wtedy wpada w banał, wypisuje pustobrzmiące frazesy, argumentuje zastępując hałaśliwymi zwrotami. I wówczas nie trafia do swego odbiorcy, który czytając publicystykę nie chce autorowi uwierzyć, ale właśnie chce być przekonany. Takiej właśnie postawy intelektualnej, postawy pełnej odpowiedzialności, uczy nasza socjalistyczna kultura, a nie odpowiada jej jeszcze w dostatecznej mierze przygotowanie naszej publicystyki.

Więcej więc przygotowania, więcej wiedzy, więcej śmiałości w odważnym i prostym stawianiu sprawy, mniej oglądania się za jakimś bezpiecznym wzorem, który wystarczy powielić — oto wnioski wypływające z tej Osmańczyka. Oczywiście nie osiągniemy właściwego poziomu publicystyki, jeśli nie rozwiążemy zagadnienia krytyki publicystyki. Jako specjalność jednak rozwijać się ona będzie równoległe do rozwijania publicystyki, jako wyraźne wyodrębnionej dziedziny twórczości dziennikarskiej. O ile oprzemy ją o wysiłki i tak zaharowanych dziennikarzy, nie da to dostatecznych rezultatów.

(Dokończenie ze str. 2)

Próba zwalzenia jej na krytyków literackich zawiedzie tym bardziej, że jest to jednak dziedzina zupełnie specjalna.

Chciałbym tu przy okazji jeszcze podnieść jedną z licznych trafnych obserwacji Osmańczyka, mianowicie zagadnienie luki w naszej akcji wydawniczej właśnie na odcinku publikacji klasyków polskiej i międzynarodowej publicystyki. Jest faktem, że wzory te są nam potrzebne, jak również są nam potrzebne dobre tłumaczenia wzorów najlepszej postępowej publicystyki współczesnej. Potrzebujemy wreszcie dobrej i dostępnej analizy współczesnej publicystyki burżuazyjnej, by zapoznać się synfetycznie z metodami pracy propagandowej przeciwnika, piśmiennictwem politycznym stojącym na służbie świata kapitalistycznego. Musimy bowiem umieć zwalczać ich wplywy, musimy również umieć wykorzystać to wszystko, co jest po prostu osiągnięciem wielowickowych tradycji.

Można by z niewielkiej książeczki Osmańczyka wybrać bardzo wiele trafnie postawionych problemów, głębokich analiz i odważnych wniosków. Artykuł ten nie jest recenzją i brak tu miejsca dla wyczerpania choćby tylko tych wniosków i spostrzeżeń z jego pracy, z którymi się w pełni solidaryzujemy. Stanowią one na pewno znakomitą większość. Jednak przede wszystkim trzeba tu złożyć hołd wielkiej pasji, z jaką autor zabrał się do swego tematu i podkreślił prawdziwy patriotyzm, jakim otacza on spuściznę publicystyczną, zbyt szybko i tak tragicznie przerwana — Tadeusza Borowskiego.

Niech mi jednak będzie również wolno wytknąć Osmańczykowi dwa marginesowe potknięcia, które mnie osobiście jednak mocno zabolaly. Pierwszą jest jakiś dziwnie niesprawnie wzięty stosunek do tego, co war-

szawskie. Dla Osmańczyka warszawska recenzja — to „stryknięcie przez zęby jadowitą śliną“, warszawska krytyka musi być koniecznym obgłakana przez kumoszki z „Kopciuszka“, warszawska plotka, to ta najgorsza, najpodlejsza.

Nie chciałbym być tu wyrazem jakiegos szowinizmu lokalnego. Warszawa ma swoje reakcyjne nawyki, swoje małości, śmieszności, tak jak każdy inny ośrodek życia intelektualnego. „Marzec“ czy „Kopciuszek“ istotnie nie cieszyły się sławą kuźni kultury i postępu, niektóre nasze stosunki i stosunek do świata ludzi pióra mogły pachnieć dulszczyzną czy zalatywać kumoterstwem, wazelinarstwem i wieloma innymi grzechami. Temu nie sposób zaprzeczyć. Jednak, by być obiektywnym, trzeba stwierdzić, iż to nie jest w żadnym razie cecha specyficznie warszawska, a po prostu zwykły wytwór wstecznych i reakcyjnych nawyków myślowych, tkwiących jeszcze w stolicy, tak jak i gdzie indziej w Polsce. My jednak chcemy, by przymiotnik warszawski do innych celów służył i był, jak się to naszej stolicy należy, przymiotnikiem naszczytnym, tak jak się mówi o warszawskim tempie, o warszawskim humorze, warszawskiej ofiarności. Mam nadzieję, że Osmańczyka zawiedla po prostu zbyt odległa od stolicy perspektywa, i że dziś już, z bliska, odczuł, że co warszawskie — to to, co naszym sercem najbliższe, to co najlepsze, najbardziej godne.

I jeszcze jedna uwaga, tym razem zupełnie „pro domo sua“. Osmańczyk, powołując się na Herdera, daje nam krótki wykład swego sądu o publicystyce i o kulturze katolickiej w ogóle. Najdalszy jestem od chęci przekonywania tu Osmańczyka do Herdera czy Sankt-Konrad-Battu, czy innych „Małych Dzienników“ nie sławnej pamięci. Skoro jednak Os-

mańczyk uogólnił swój negatywny sąd o publicystyce katolickiej na podstawie jednego cytatu z Herdera, uważam za konieczne ze swej strony przypomnieć, że i tu, jak i gdzie indziej, niezależnie od stanowisk światopoglądowych jedna i ta sama linia dzieli twórczość społecznie postępową od twórczości reakcyjnej. Cytując Herdera nie wziął Osmańczyk pod uwagę ani faktu takiego, jak pokojowa publicystyka księdza Bouliera, ani odważnych, katolickich wstępień publicystycznych w obronie Duclos, Stila, Le Leapa, w obronie Rosenbergów. Nie wspomniał o rosnącej katolickiej i postępowej publicystyce w Polsce, o artykułach księży i świeckich — o spółdzielczości produkcyjnej, o Nowej Hucie. Ani ogólniarska, ani elitarna, a przede wszystkim publicystyka i katolicka, i społecznie postępową. Zbyt wysoko cenię wszechstronność kultury autora, bym miał prawo go tu posądzić o niewiedzę. Osmańczyk na pewno zna i rozumie sens społecznie postępowej publicystyki katolickiej. Szkoda jednak, że na cząstkowym przykładzie zanalizował tylko problem jednostronnie, w rezultacie nieobiektywnie.

Na tych dygresjach kończę swoje osobiste refleksje nad pracą Osmańczyka. Nie powinniśmy się zatrzymywać nad marginesowymi z punktu widzenia tematu zastrzeżeniami. Istotny wkład autora, za który wszyscy powinniśmy mu być wdzięczni, to postawienie sprawy polskiej publicystyki na porządku dziennym zainteresowań nie tylko dziennikarzy, ale w ogóle polskiego życia kulturalnego.

Skoro publicystyka jest niezbędnym orężem w pokojowej walce o postęp społeczny, o budowanie ustroju sprawiedliwości i dobrobytu, to powinniśmy się zastanowić wspólnie nad tym, jak tę broń udoskonalić, jak sprawnie władać nią, by była pomocna realizowaniu tych wielkich zadań, które dziś skupiają całą energię wszystkich żywotnych sił naszego narodu.

O W I E R Z E R O Z U M N E J

tywnej, to jest wiedzę społecznie sprzeczającą, nie jest Bogiem religijnego przeżycia, Bogiem zjawiającym się w naszym życiu, jako nasze osobiste dobro, Bogiem budzącym miłość. Tymczasem akty wiary mają być podstawą miłości. Tymczasem wiedza o istnieniu Boga ma się stać podstawą aktu wiary, który jest nie tylko aktem racjonalnym, ale i wolnym. Trzeba przecież uwierzyć w coś co często jest dla nas niezrozumiałe, trudne, a może nawet stać się bolesne, trudne, niezrozumiałe. Poddać się prawdom wiary, znaczy często cierpieć. Trzeba zatem zobaczyć Boga na drodze wiedzy, dającej poznanie, będące równocześnie przeżyciem Boga odczuwanego jako wartość, jako dobro.

Ani filozofia, ani nauka nie potrafi zapewnić takiego poznania. Gdzie więc go szukać? Wydaje się, że na drodze wiedzy, która będąc z istoty swojej poznaniem bezpośrednim, nie może jednak być zaliczona ani do filozofii, ani do nauki. Człowiek musi się spotkać z Bogiem w sferze egzystencjonalnej, jak najbardziej osobistej, musi przeżyć jego istnienie w związku z przeżyciem sensu własnego życia.

Spróbujmy wyjaśnić to bliżej. Przede wszystkim, podkreślam raz jeszcze, iż chodzi tu o bezpośrednie poznanie, a więc o drogę wiedzy, angażującą rozum, nie ma to zatem nic wspólnego z koncepcjami modernistycznymi. Ale możemy przecież zdobyć wiedzę pewną nie tylko w konsekwencji poznania, mającego wartość obiektywną, tj. dającego się obiektywnie, społecznie skontrolować i społecznie przekazać. Może ona tak być wynikiem poznania, które choć dla mnie jest pewne, jako poznanie bezpośrednie, jest równocześnie niesprawdzone dla innych, nieprzekazywalne a zatem nie może być dla innych przedmiotem wiedzy obiektywnej, lecz co najwyżej wiary. św. Paweł na drodze do Damasku spotkał Chrystusa. Uzyskał on w ten sposób wiedzę pewną o istnieniu Boga, choć nie pochodziła ona ani z dorobku filozofii, ani nauki, choć ten, który ją posiadał, nie stosował ani metody metafizycznej, ani też racjonalno-empirycznych zabiegów współczesnej nauki. Można by wskazać wielu świętych, którzy w sposób jak najbardziej dla nich oczywisty spotkali Boga. A zawsze spotkanie to miało swoją wymowę moralną, potwierdzało lub zmieniało ich drogę życiową, było nie tylko potwierdzeniem tezy o istnieniu Boga, ale i manifestacją dobra, którym jest Bóg, a często także potwierdzeniem Objawienia danego Kościołowi.

Ktoś może spostrzec nieznaną gałąź kwiatu, którego istnienie jest nauce nieznaną. Jeśli nie poza wspomnieniem nie pozostanie z tego wydarzenia, istnienie nieznanych kwiatów będzie nadal dla nauki nieudowodnione, będąc równocześnie jak najbardziej pewne dla tego, kto za pośrednictwem zmysłów w sposób krytyczny doświadczył ich istnienia. Zupełnie podobnie przedstawia się często sprawa wiedzy o istnieniu Boga. Ludzie zdobywając wiedzę o istnieniu Boga, mającą wartość subiektywną, uzyskują pewność często niezrozumiałą dla innych.

Sądzę, iż pewność tego rodzaju rodzi się nie tylko dzięki Łasce bezpośredniego kontaktu z objawiającym się Bogiem.

Zwróćmy uwagę na psychologię odkrycia naukowego. W konsekwencji żmudnych badań zjawia się często w świadomości badacza raptowne przeżycie hipotezy, o którym niebardzo wiadomo, skąd się wzięło. Hi-poteza ta ogarnia od razu całość kwestii i rodzi przekonanie o prawdziwości danego rozwiązania. Zachodzi więc w oparciu o doświadczenia badacza jakieś procesy myślowe, które dokonywały się jakby pod progiem świadomości, nie przestając przez to być procesami rozumowania.

Przypuszczam nawet, że o ile istnieje dobra dokumentacja drogi poznawczej, można retrospektywnie odtworzyć przebieg tych procesów.

Życie ludzkie w gruncie rzeczy bardzo przypomina przedstawiony wyżej proces poznawczy. Cały szereg różnych faktów po pewnym czasie, o ile istnieje zainteresowanie tymi faktami, domaga się wyjaśnienia, hi-potezy, która by je zinterpretowała. Bardzo często nie pamiętamy dobrze wszystkich tych faktów, a całe zagadnienie rysuje się niejasno, nie mniej jednak prac ku rozumowemu rozwiązaniu. Romano Guardini powiada, że ujęcie życia Bożego dokonuje się przez samo nasze życie, a sposób, w jaki do tego dochodzi, jest tak różnorodny, jak różnorodny jest styl tego życia. Meżna jednak powiedzieć o faktach, stających się źródłem hipotezy o istnieniu Boga, że zawsze dotyczą one w jakiś sposób spraw moralnych, znajdując się w związku z naszą tęsknotą za osobą, która by nas w pełni nasyciła i własną miłością, i własną doskonałością. W chaosie wydarzeń — opowiada Guardini — dokonywających się wokół nas, wyczuwamy raptownie coś szczególnego poza nimi. Zaczynamy pojmować, że wszystko to nie tylko zdarza się mnie lub wskutek tego, że istnieje, lecz pozostaje także w związku z mną. W toku niektórych zdarzeń widzimy wyraźnie, że przynoszą one rozwiązanie, podają dyrektywy. Na pewnym etapie naszego życia spoglądamy wstecz i dostrzegamy, że z luźnych, jakby nie związanych ze sobą fragmentów życia składa się wyraźna całość. A po pewnym czasie trwania tych wszystkich doświadczeń, o których opowiada Guardini, zjawia się hipoteza istnienia Boga, hipoteza dająca w dalszym przebiegu potwierdzających ją zdarzeń pewność istnienia Boga, którą tak mistrzowsko zanalizował kardynał Newman.

Podobnie jak w wypadku objawienia się Boga człowiekowi, tak i tutaj zdobyta wiedza, której genezę często bardzo niejasno się rozumie, jest wiedzą obiektywnie niesprawdzone, a więc wiedzą mającą wartość jedynie subiektywną. Ponadto tak tu, jak i tam, problem istnienia Boga przestaje być wyłącznie problemem rozumowym, stając się równocześnie problemem Łaski i wolnego wyboru. Potrzebna jest Łaska, aby objawił się człowiekowi Bóg bezpośrednio, potrzeba jej na to także, aby człowiek w ciągłej pogoni za dobrami tego świata zwrócił uwagę na fakty związane z własnym życiem moralnym, z własną tęsknotą za osobą zdolną nas w pełni zaspokoić. A jeśli aktywność naszej woli łączy się niezaprzeczalnie, choć tajemniczo, w sposób znany chyba tylko Bogu, z faktem bezpośredniego objawienia się, to związek ten jest najzupełniej wyraźny z narodzinami pewności, będącej rezultatem przyjęcia hipotezy najlepiej, najpełniej tłumaczącej zdarzenia związane z naszym życiem moralnym.

Mówią o tym słowa św. Pawła: „Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iż jesteśmy spjami Bożymi“ (Rzym 7, 16). Nauka moja — zwraca się do nas Jezus — nie jest miłą, ale tego, który mnie posłał. Jeżeli kto będzie chciał czynić wolę tego, dowi się o nauce, jeśli jest z Boga, czyli ja sam z siebie mówię“ (Jan 7, 16 i 17).

Słowa te, podkreślając znaczenie naszej woli w zdobyciu podstaw wiary, wyraźnie wskazują drogę, na której zjawia się przed nami Bóg. Jest to droga realizacji woli Bożej, zawartej w naszej świadomości, jako tęsknota za dobrem i pięknem, prawdą, za miłością doskonałą, jako nakazy sumienia, jako, mówiąc po prostu, przeżycie prawdy w aspekcie aksjologicznym. Chrystus upewnia nas, że konsekwentna realizacja woli Bożej, konsekwentna praca nad sobą, kształtująca owo synostwo Boże, o

Dokończenie ze str. 4

którym świadczy Duch, doprowadzi nas do intelektualnej pewności, że Bóg istnieje i że nauka Chrystusowa od Niego pochodzi. Rzecz jasna, obietnica Chrystusowa dotyczy przede wszystkim wiedzy, mającej wartość subiektywną, na tym bowiem temie, który ona obejmuje, nie istnieje nigdy zjawisko powszechnego przyjęcia tezy o istnieniu Boga, które to zjawisko paraliżowałoby irracjonalne źródła naszych oporów w przyjęciu tej tezy. Na drodze zaś poznania bezpośredniego, które budzi naszą wolę, staje się źródłem miłości, pozostaniemy zawsze osobą, jedną osobą, szukającą świadomie czy nieświadomie Boga.

Stwierdzając, że poznanie Boga musi mieć charakter poznania danego na drodze wiedzy mającej wartość jedynie subiektywną, chcę równocześnie podkreślić konieczność i ważność tych konstrukcji myślowych, które mogą nas doprowadzić do obiektywnego odkrycia pojęcia Boga, jako absolutnego bytu i absolutnej przyczyny. Choć bowiem sądzę, że człowiek istotnie musi się zetknąć z Bogiem na gruncie jak najbardziej osobistym, jedynym i specyficznym dla każdego człowieka i choć — jestem przekonany — dopiero takie przeżycie poznawcze wyzwala miłość do Boga, to jednak jest chyba rzeczą oczywistą, że przeżycie tego rodzaju, choć konieczne, nie są wystarczające, nie dając w pełni jasnego i często w pełni pewnego poznania Boga.

Tak zatem poznanie Boga, które tkwi u podłoża aktu wiary, nie jest wyłącznie procesem rozumowym, jest także procesem uwarunkowanym przez wewnętrzną postawę przeżywanego ten proces, zależnym od nastawienia jego woli, a przede wszystkim od Łaski. Dzieje się tak zarówno dlatego, że przeświadczenie o prawdziwości tezy o istnieniu Boga, po-

ciągającej za sobą zobowiązania moralne, wyzwala sprzeciw zabijający obiektywne, racjonalne rozeznanie, jak i dlatego, że zawsze istnieje będzie konieczność dochodzenia do poznania Boga na drodze nie tylko wiedzy, posiadającej wartość obiektywną, ale i w toku poznania bezpośredniego, dającego wiedzę, mającą wartość jedynie subiektywną. Cechy więc dobrowolności i nadprzyrodzonej nie przysługują wyłącznie samemu aktowi wiary, w którym przez wzgląd na objawiającego Boga przyjmujemy do wierzenia prawdy same w sobie nieoczywiste, a więc nie narzucające się jako konieczność (a równocześnie moralnie zobowiązujące), i tym samym wierzymy Bogu, ufamy Mu, podejmując się żyć zgodnie z tymi prawdami. Chociaż jednak cechy te przysługują także procesowi dochodzenia do podstaw wiary, wszystko wskazuje na to, iż wskutek tego nie przestaje on być wcale procesem w pełni racjonalnym.

III.

POSTULOWANA przez katolicyzm rola rozumu w przeżywaniu prawd wiary nie ogranicza się do stwierdzenia koniecznych przesłanek wiary, określanych w teologii mianem „praecambula fidei“ oraz do jasnego co do przedmiotu wierzenia, a równocześnie w pełni rozumnego aktu wiary. Urząd nauczycielski Kościoła żąda także rozumowego rozwiązywania ewentualnych problemów, jakie mogą powstać na drodze konfrontowania prawd objawionych z prawami wiedzy naturalnej. Nie należy więc z punktu widzenia nauki Kościoła Bożego odzierać irracjonalnie powstałych tu ewentualnych trudności. Trudności takie trzeba rozpatrzyć i rozumnie zrestrzygnąć po to właśnie, aby sady wiary były sądami przeżywanymi jako sądy konsekwentnie racjonalne.

„Tworem ułobionym Boga jest rozum“ — mówił św. Tomasz z Akwinu. Jeśli uznamy słuszność tego twierdzenia, łatwo stąd wywniosko-

wać, iż nie wolno zabijać poczucia wartości rozumu, nie wolno lekceważyć jego głosu nawet wtedy, jeśli do tyczy on krytyki prawd Objawienia. Rozum jest przecież tym czynnikiem, dzięki któremu docieramy do prawd Objawienia, kształtując na drodze wiedzy, posiadającej wartość obiektywną, oraz wiedzy, mającej wartość subiektywną, praecambula fidei.

Tego ukochania rozumu, tak żywego w życiu świętych i w treści dogmatów, bronił nieomylny urząd naukowy Kościoła niezmiennie przez cały okres swego istnienia. Zdradził rozum katolicyzm, pojęty jako zbiór prawd światopoglądowych, określających sens i drogę ludzkiego życia.

Z samej istoty katolicyzmu wynika jego przystosowanie do kształtowania człowieka rozumnego, człowieka, który mimo wszystko, mimo osobistego uczucia i uprzedzenia, zdolny jest ugiąć czoła wobec głosu rozumu. A wychowanie wiary i zmysłu katolickiego, jeśli dokonuje się zgodnie z duchem katolicyzmu, winno być wychowaniem w ogromnej mierze intelektualnym. Podkreśla to wyraźnie w swojej „Katolickiej etyce wychowawczej“ Jacek Woreniecki stwierdzając, iż katolickie wychowanie wiary jest także zawsze kształceniem, jest także zawsze silnym zaangażowaniem intelektualnych władz osoby ludzkiej.

Racjonalność procesu dochodzenia do wiary, racjonalność aktu wiary oraz racjonalność sądów wiary, wydawanych w toku jej przeżywania — wszystko to sprawia, że wiara katolicka może i powinna kształtować człowieka rozumnego, kształtując tym samym zarazem człowieka, który dziś zdolny jest podjąć trud tworenia na zrzębów społecznego życia, opartego na rozumie, a jutro potrafi stać się prawdziwym obywatelstwem konsekwentnie rozumnej społeczności.

Jerzy Czupiański

Leszek PROROK

BAROMETR TEATRALNY ZWYŻKUJE

NIE każda sztuka pozwala wytyczyć wyraźną granicę między reżyserią a inscenizacją, dwoma sześcianami realizacji dzieła dramatycznego. Niezależnie od tego, jak daleko posunął się udział teatru w wytworzeniu pełnej wizji artystycznej. Do tej ostatniej bowiem dąży w oparciu o surowy tekst literacki trud inscenizatora. Inszenizacja jest zatem dziełem syntezy, gdy reżyseria sprowadza się na ogół do wypracowania szczegółowych rozwiązań sytuacyjnych, gry aktorskiej oraz zestawienia ich z oprawą scenograficzną.

O tym, na którym z tych dwu nierównych szczebli opiera się twórca pracy teatru, przesądza nie raz tekst sztuki. Zdarza się, że twórca już w swej warstwie literackiej zawiera tyle pierwiastka określonej jednoznaczności, sugestywnej wizji scenicznej, iż od realizatora żąda jedynie reżyserii. Bywa jednak, że twórca jednolitej wizji scenicznej nie narzuca, lub też otwiera szereg odrębnych możliwości. Wówczas, niezależnie od pracy reżyserkiej, walnym współtwórcą przedstawienia zostaje inscenizator. Zjawisko szczególnie częste, gdy chodzi o powrót na scenę utworów zapomnianych czy o realizację dzieł niekompletnych.

Uwagi takie budzi niedawna premiera „Grzechu“ Żeromskiego w Państwowych Teatrach Polskich w Poznaniu. Szczególnie odpowiedzialny trud inscenizacji rozłożył się tym razem na opracowanie dramaturgiczne Leona Kruczkowskiego i inscenizację właściwą.

„Grzech“ należy do najwcześniejszych utworów Żeromskiego. Po zlekceważeniu debiutu dramaturgicznego przez jury konkursu „Kuriera Warszawskiego“ w 1897 r., autor postanowił nie ogłaszać dzieła. Rekopis powędrował do szuflady, z czasem za gipsa znaczną część ostatniego aktu. Kruczkowski na podstawie ocelanej sceny oraz wspomnień czytelników opracował zakończenie, dokonał też w tekście pewnych retuszów w kierunku zaostrenia konfliktów i rysun-

ku postaci, który tu i ówdzie zawiódł porządkującego autora.

Inszenizator warszawskiej prapremiery, Bohdan Korzeniowski, postawił sobie za zadanie wypuklić wszystkie obyczajowe i socjalne perspektywy konfliktów i gry charakterów, którzy zdawał się w pełni nie dostrzegać sam autor. Motyw uwiedzionej dziewczyny nie jest nowy w literaturze ani na scenie. Nowe na tle współczesnej Żeromskiemu twórczości były okoliczności, w jakich osadził akcję swej sztuki, wywodząc skrzywdzoną Annę ze środowiska zdeklasowanego, aczkolwiek posiadającego „modus vivendi“ ziemianstwa, czyniąc ją ofiarą intrygi przedstawicielki wysokiej burżuazji, Parmeni, zbrojnej w bezwzględny oręż pieniądza, znajdując wreszcie dla odrępczości w bezlistnym klasowym ostracyzmie — bezinteresowną opiekę i ład moralny wśród murarskiego proletariatu Warszawy. W tej sytuacji inszenizacja musiała pójść drogą zarysowania kontrastów między środowiskami, przy pomocy maksymalnego wykorzystania środków wyrazu teatralnej zwłaszcza tam, gdzie nie wystarczał tekst. Tu np. leży geneza charakterystycznego rozgraniczenia środków gry w kreacji Parmeni i lekkocharakterliwa Eukowieza, od środowiska rodzinnego Anny, z kolei zaś obu — od atmosfery na budowie*).

Dobrze się stało, że teatr poznański skorzystał w pełni z inscenizacji warszawskiej i opieki B. Korzeniowskiego nad przedstawieniem. Spektakl poznański był dokładnym w miarę możliwości przeniesieniem rozwiązań sytuacyjnych i scenograficznych w nowe warunki obsadowe. Reżyserowi (A. Hanuszkiewiczowi) pozwoliło to skupić się na drobniagowym wypracowaniu gry aktorskiej i w efekcie dało przedstawienie o poziomie i wy-

* Brak miejsca nie pozwala na analizę ciekawej i wielostronnej problematyki utworu. W tym względzie odsyłam czytelnika do interesujących wywodów A. Odnowy w okazji warszawskiej premiery „Grzechu“ (D. i J. nr 2 (320) z 1952 r.).

razie artystycznym nie notowanym w Poznaniu od lat kilku. Poważnym fundamentem sukcesu stała się trafna jak rzadko obsada ról.

Wyliczenie ich zresztą należy od świętej kreacji Zofii Rysiówny jako Parmeni. Ukroczenie żaru uczucia i wewnętrznej, zdolnej do wszystkiego pasji, poprzez króciwą powściągliwość, granowatnie i narzucony siłą woli spokój, stanowi swego rodzaju majstersztyk aktorski. Szczególnie to cenny przykład dla środowiska artystycznego, w którym pokutuje tendencja nadmiernej patetyzacji lub nieumarkowania w grze. Czyim przykładem widz da wiary? — oto sprawdzian wartości gry aktorskiej według Stanisławskiego. Widz wierzył bez rezerwy prawdziwej postaci niemłodej o tentatki kapitału, w jej wyuzdanie ze skrupułów, maskowanej pozorami walce o mężczyźne. Wierzył również pozostałym postaciom, a nade wszystko Annie oraz jej ojcu, i to jest miarą wysokiego stopnia realizmu scenicznego, jaki osiągnęło przedstawienie poznańskie.

Annę odtworzyła Urszula Modrzyńska, pamiętna Ilania z „Ruchomych piasków“ i Peła z „Mieszczan“. Talent, zapowiedziany w tamtych sztukach, znalazł pełne potwierdzenie w wielkiej kreacji Anny, tym silniejsze, że warunki artystyki harmonizowały doskonale z wymaganiami roli. Przekonujące były urok, prostota i żarliwość rozkochanej dziewczyny, tak odmiennie od światowego szlifu Parmeni, przekonujące, pełna godności rozpacz uwiedzionej i decyzja trudnej walki o byt i samodzielność.

Stanisław Stema w roli ojca wydobyl wiele głębiej, ludzkiej prawdy. Podwarszawski król Lear, maltretowany przez starszą córkę sekutnicę, był równie prawdziwy, gdy odzywał się w nim wspomnienia wielkopariskiej przeszłości, jak też gdy przeżywał ojcowską rozpacz na myśl o losie Anny i poczucie własnej bezsilności. Kreacja ta osiągnęła szczyt w sugestywnym zakończeniu III aktu. (Dokończenie na str. 10)

Józef MAJKUT



U wejścia na Trakt Starej Warszawy

Wszystkie zdjęcia autora

„Warszawskie Stare Miasto” powstało w końcu XIII wieku o założeniach i architekturze gotyckiej, otoczone murami obronnymi. W roku 1596 przenosi się tu stolica Państwa Polskiego. Po pożarze w roku 1607 odbudowane w stylu wczesnego baroku.

W roku 1944 zniszczone całkowicie przez okupanta hitlerowskiego. Decyzją Rządu Polski Ludowej odbudowywane od roku 1947. Oddane będzie do użytku jako trakt Starej Warszawy w latach 1953 (w części pierwszej) — 1954 (w części drugiej) — 1955 (w części trzeciej). Odbudowę prowadzi ZEM 3 KAM”.

Oto skondensowana w siedmiu zdaniach historia siedmiu wieków Starego Miasta, którą czytamy na wstępie wchodząc na Trakt Starej Warszawy.

Oszklona gąbłotka z lapidarną informacją historyczną i przejrzystym planem ilustrującym teren objęty pierwszą fazą odbudowy — stoi o kilkadziesiąt metrów w lewo od Kolumny Zygmunta na wprost wylotu ul. Senatorskiej. Według historycznych źródeł tu mniej więcej stała ongiś „najznakomitsza” brama Grodzka vel Krakowska — otwierająca wjazd na Stare Miasto. W odległości „40 łokci kronnych” za tą „najznakomitszą” bramą, a „8 łokci od muru” — okalającego dziedziniec zamkowy od strony Krakowskiego Przedmieścia — ustawiono w r. 1644 kolumnę — pomnik króla Zygmunta III.

W projekcie był ponoć dwukrotnie wyższy i miał „odjąć pierwszeństwo wszystkim pomnikom rzymskim, gdy by szpara przypadająca w połowie nie była go przecięła”. Nawet budowniczy Jego Królewskiej Mości Constantino Tencalla, który „swą sztuką i zdolnością utrzymywał główny kierunek” — nie umiał jakoś temu zaradzić. Pozostaliśmy bez „pierwszeństwa”.

„PONS POLONICUS”

WSZEM, mieliśmy pierwszeństwo, ale ze szczególnym wydzźwiękiem — jak: „pons polonicus”, „via polonica”, „polnische Wirtschafft” — czyli polski most, polska droga, polska gospodarka...

A zaczęło się to tutaj, gdzie dziś ulica Mostowa, gdzie Trasa W-Z, Kolumna, Krakowskie Przedmieście i Stare Miasto. Tak, tutaj właśnie, na via regia — na drodze królewskiej, gdzie grzęzły konie i łamały się osie królewskich koni.

Mieliśmy bowiem już wówczas za Zygmunta III — most przez Wisłę: most cudo, most cacko, z najlepszych dębów Mazowsza. Zaczął Zygmunt August, a skończyła Anna Jagiellonka w roku 1573, ale że drewniany więc już w 1603 „na oczach królewskich” — zabrała ten most powódź.

Tak samo było potem z drugim, trzecim i piątym — gdy rzymskie murywane wciąż stały...

Stąd właśnie rozniosło się już wów czas po świecie to pogardliwe „pons polonicus” — jako symbol naszej niedoleżności, nieporadności, tandety i zacofania... Sami nie nie umiemy, nie poradzimy, do wszystkiego musimy sprowadzać obcych. Wierzyli w to nie tylko za granicą, ale i u nas królowie, książęta i wielmoże — wbrew i na hańbę swoim wielmożnym tytułom.

Za nimi, aż do ostatnich przedwojennych czasów holdowali tej zasadzie wszyscy nasi rządzący, do tego stopnia, że nawet głupia „ciuchcie” „samowarek” od mostu do Jabłonny musiały nam zaprowadzić obce Towarzystwa...

Dziś ktokolwiek od strony Kolumny Zygmunta spojrzy przez kamienną balustradę na stalową klamrę mostu Śląsko-Dąbrowskiego, na panoramę Trasy pulsującej nieustannym ruchem — ten zapewne daleki jest od złośliwości i lekceważenia.

A kto uprzytomni sobie, że poprzedni most Kierbedzia budowano 5 lat, zaś montaż mostu śląsko-dąbrowskiego obliczony na 4 miesiące trwał (dzięki podjętym zobowiązaniom) tylko 75 dni (22 września — 6 grudnia 1948 r.) ten słowa „pons polonicus” — polski most, czy polska gospodarka może wypowiedzieć tylko z szacunkiem. A przecież nie dokonał tego nikt obcy, tylko my sami: Śląsk i Warszawa — inżynier i robotnik Polski Ludowej.



Cyrylik J. K. M. — malowidło na kamienicy Nr 3 po stronie Zakrzewskiego — malował art. plast. Bohdan Urbanowicz

Trasa zaś wraz z tunelem i schodami doprowadzając do Starówki świeży strumień światła i ruchu — przekonała najrozniejszych malkontentów, że można wskrzeszać zabytkowe piękno bez rezygnacji ze zdobyczy naszych czasów. Był to pierwszy czyn na miarę nowej epoki.

Trudno o bardziej godne określenie tego dzieła, jak słowa wypisane na kartuszu kolumny, od strony Krakowskiego Przedmieścia po pierwszej renowacji:

OPUS AMORIS ET HONORIS

ISTOTNIE — dzieło miłości i honoru, bo właśnie tutaj przy otwarciu Trasy wraz z podniesieniem Kolumny objawiła się szczerą miłość Ojczyzny i uratowany został jej honor.

Tutaj zadokumentowano nasz patriotyzm nie w rozgłosnym pobrękiwaniu (szabelką i ostrogami — „nie damy guzika”) — ale w systematycznej, bohaterskiej i pełnej poświęcenia pracy. Historyczna już dzisiaj Trasa — Pierwszy Trakt Nowej Warszawy, z dogodnym przejściem na Stary — to nie tylko nowoczesna arteria komunikacyjna, miejsce miłych spacerów i wypoczynku — to przede wszystkim kolebka i szkół nowego systemu pracy. Systemu planowania, racjonalizacji i współzawodnictwa. Tu zrodził się pierwszy szybkościowiec, stąd przeszły na dalsze budowy pierwsze trójki murarskie.

Dziś dobiega już końca pierwszy etap wielkiej bitwy o Starówkę. Tylko kilka dni dzieli nas od historycznego momentu oficjalnego otwarcia i oddania do użytku Traktu Starej Warszawy — co w myśl Uchwały Rządu nastąpi w dniu 22 lipca, to jest w 9 rocznicę Odrodzenia Polski.

Bitwa o Stare Miasto nie ustaje ani na chwilę. Aby się o tym przekonać, wystarczy rzucić okiem na mury obronne, przejść się Podwalem, Nowomiejską, Piwną, spojrzeć skądkolwiek na Rynek, w Świętojańską, Jezuicką, Celną, wszędzie to samo: ciężka, nieustępliwa walka.

Bo jakże inaczej to nazwać? Odkąd powzięta została decyzja odbudowy Starego Miasta, dziesiątki inżynierów, architektów i urbanistów, setki techników i majstrów, tysiące robotników walczy tam nie tylko o odzyskanie tej lub innej baszty obronnej, kamienicy, placu, świątyni, lecz walczy też o każdą gotycką cegłę w piwnicy, o ciekawszą kratę z nadświetli drzewiowych, o balustradę na schodach, o kute zamki i kołatki — słowem o to, co godnego uwagi pozostało w tych historycznych budowlach.

Wydrzeć ruinom, gruzom i zniszczeniu wszystko to, co wtłoczył w nie i unicestwił wróg, wydobyć spod patyny niechlujstwa, zapomnienia i obskurantyzmu, utrwalić i przekazać

kulturze narodowej to, co wartościowe w jej przeszłości — oto główny cel tej wielkiej bitwy, jaka prowadzona jest obecnie na Starówce.

CZY BĘDZIE TAKA JAK BYŁA?

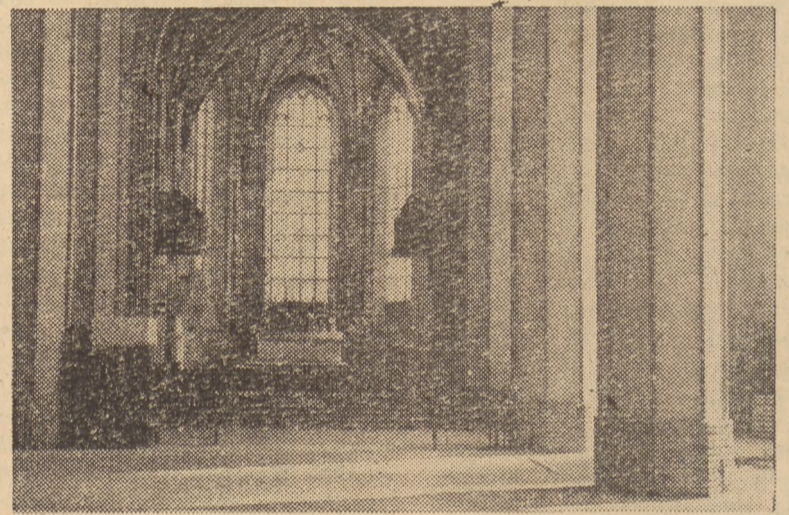
PYTANIE to postawione zostało jeszcze niedawno głównemu architektowi Odbudowy Starówki inż. Kuźmiew w czasie jego odczytu w Muzeum na temat „Odbudowa Traktu Starej Warszawy”

Wywiązała się wśród obecnych na sali długa dyskusja, w której najtrudniejszą sprawą było ustalić „jaka była”. Bo Stara Warszawa w różnych czasach była bardzo różna...

Najpierw, jak wiadomo, od połowy XIII wieku, aż do 1431 roku — pierwszej generalnej pogorzeli — była ona przeważnie drewniana, ale z takiego wyglądu miasta zrezygnowano już wówczas, nakazując od tego czasu wznosić kamienice tylko murywane.

Ta nowa, murywana, przeważnie gotycka, nie trwała nawet i dwustu lat, gdyż w roku 1607 strawiła ją prawie doszczętnie druga pożoga, tak nielitościwa, że miejscami przeżarła nawet mury obronne.

Od tego czasu na fundamentach go tyku zaczął narastać barok, zachowując tylko tu i ówdzie relikty pierwotnej epoki przy starym ukształtowaniu terenu w długie, wąskie parce-



Wspaniały gotyk wnętrza katedry

le i tak ciasne uliczki, że w niektórych miejscach, np. przez Rycerską, mógł konno przejechać tylko jeden rycearz lub co najwyżej dwoje ludzi przejść obok siebie pod rękę. Najszerszą, reprezentacyjną arterią, w której mogły się wyminać dwa wozy, była wówczas wiodąca z Rynku do zamku ulica Świętojańska.

Ani ona, ani nawet Plac Zamkowy, nie mówiąc już o takich jak Gnojna, Zawrót, Ślepa, Bieda, Dawna czy inne, nie miały wówczas bruku, oświetlenia, a tym bardziej kanalizacji. Ulice te, zwłaszcza jesienią, były to straszliwie cuchnące, ciemne wąwozy pełne błota i niechlujstwa. Wiodły one bezpośrednio do zatecznych piwni, straganów, cementarzy i „Gnojnicy Góry” — wiecznego siedliska morowej zarazy, która raz po raz wywieszana na Rynku czarna chorągiew i cięła na odlew, waląc pokótem pracowitych „sławetnych”, „szlachetnie urodzonych”, a także i „jaśnie oświeconych”.

Pytając „czy taka, jak była” wielu ma na myśli Starówkę swojego dzieciństwa: tu i ówdzie oświetlona, jako tako już skanalizowana, nie mniej jednak poza Rynkiem wciąż jeszcze ciasna, bez powietrza, oblepiona niby trądem szpetotą czyszczówek, które swoim zachłannym cielskiem okryły jak polipy nie tylko każdą wolną przestrzeń, ale nie darowały nawet basztom i murom obronnym, obsiadając ich martwe szczątki, jak hieny trupa.

DZIEŃ DZISIEJSZY

NIEODZOWNE czynności, bez dokonania których nie było mowy o jakimkolwiek planowaniu przestrzennym, to oczyszczenie terenu z zalegających Stare Miasto gruzów o objętości prawie pół miliona metrów sześciennych.

Równocześnie z odgruzowaniem prowadzona była rozbiórka nie nadających się do rekonstrukcji fragmentów i zabezpieczenie tych ścian, co do

kórych istniała nadzieja włączenia ich jako cennych autentycznych resztek.

A ileż to było radości z powodu zainstalowania pierwszego telefonu w kamienicy „Pod Murzynkiem”, która zgodnie z założeniem „stare mury do nowych celów” — odbudowana została jako pierwsza, z przeznaczeniem na muzeum Warszawy.

Dziś nie tylko muzealna strona Dekerta, ale tak samo strony Barsa, Zakrzewskiego, Kołłątaja — cały Rynek... A poza Rynkiem Zapiecek, Piwna, wyloty Świętojańskiej, Jezuickiej, Celnej (Gnojnej), Krzywego Koła, Nowomiejskiej i Dunaju... Wszystkie kamienice przeznaczone tu zarówno na siedzibę instytucji kulturalno-oświatowych, jak też na mieszkanie oraz na tradycyjne piwiarnie, winiarnie, sklepy — są już wzorczyście przystrojone w nowiuteńkie szaty, mieniające się tu i tam szczyrym złotem.

W tak bogatym i pięknym stroju mieszczki te występowały jeszcze w czasach swej młodości na podziw wielmożów i królów, co w poemacie „Gościniec albo opisanie Warszawy 1643” — przekazał nam muzyk JKM Adam Jarzębski: „Barzo kamienie śliczne w Rynku, także i uliczne, błyszczą się od złota prawie, nie masz takich w Czersku w Rawie. Na nich dziwne rysowanie, farbami ukształtowanie”.

Któż to i kiedy przywrócił Rynkowi jego stare piękno? Wszak jeszcze w ub. roku o tej porze, ba, jeszcze przed kilku tygodniami w niektórych miejscach rysowały się ledwie zręby parterów lub łataną nadwątłone sklepienia gotyckich piwni. I nagle jak przysłowiowe grzyby po deszczu wyrosły w tym miejscu nowe domy w stylu minionej epoki.

— Wprost nie do wiary — dziwi się ci, którzy nie bywają tu często i przecierają oczy ze zdumieniem myśląc, że ich wzrok myli. Nie pomyłka to jednak ani halucynacja, lecz rzeczywistość dnia dzisiejszego, który ludzi nawykłych jeszcze do wczoraj zaskakuje często i dziwi.

Pierwszy odcinek traktu Starej Warszawy będzie oddany do użytku zgodnie z planem w dniu Święta Odrodzenia. Ale dzięki podjętym zobowiązaniom już dzisiaj zbytek kamieniczki Starego Miasta są za mieszkałe.

Wchodzę na rusztowanie kamienicy nr 17 po stronie Kołłątaja, by dokonać zdjęć płaskorzeźby amorfów, a oto z okna nad nimi wychylają się dwie główki dziewczęce.

— Jak wam na imię, dziewczynki? — Jej Bożenna — a mnie Alicja, odpowiada starsza.

— Podobna wam się Stare Miasto? — Bardzo...

— Ja tu zupełnie inaczej oddycham, w tym mieszkaniu — mówi ich matka Małgorzata Grzywacz podchodząc do okna.

— Przed tym mieszkaliśmy na Mokotowie przy Zakrzewskiej, 9 osób w

WARSZAWA

jednej ciasnej komóreczce, to po prostu dusiliśmy się. Teraz dzieci przynajmniej będą miały gdzie lekcje odrabiać.

Wchodzę do wewnątrz, aby szczegółowiej obejrzeć mieszkanie: obszerny przedpokój, łazienka, duża kuchnia, woda, gaz, elektryczność. W mieszkaniu czysto i ładnie, na stole kwiaty i książki. Dwie z nich, to tegoroczne nagrody Bożenki i Alisi za przodownictwo w nauce...

Matka nie bez dumy opowiada o swoich dzieciach, a dzieci wraz z nią cieszą się nowym mieszkaniem w zabytkowej kamienicy przy Rynku Starego Miasta... Takich poczciwych, pracowitych matek i dzieci, które o wiele wcześniej niż przewidziano w planie radują się nową rzeczywistością, jest tu już wiele, a wkrótce będzie ich jeszcze więcej. Oto jeden z licznych bardzo ludzkich celów, dla których warto wykonywać plany przed terminem...

Ale ile w tych przyspieszonych terminach przy każdej cegle, oknie, podłodze, suficie — więcej przepocowanych koszul, ile godzin ofiarowanych z potrzeby odpoczynku, rozrywki, a nawet snu — wiedzą tylko ci, którzy tu pracują.

Zajęcia rozpoczynają się codziennie o 6 rano. Przyszedłem raz i drugi o tej godzinie, ale robota szła już normalnie.

Przychodzę wcześniej, o 5-ej, lecz już przy Piwnej pod Nr 13 spotykam na rusztowaniu niewiastę z dżetem i drewnianym młotkiem kującą zawzięcie niby dzieciół w zworniku nad portalem jakiś herb.

— Któż panią tu tak rano przypędził?

— Kto, nikt, obowiązek... Jutro komisja artystyczna odbiera tutaj wszystkie prace, więc i ja muszę skończyć swoją, żeby tam nie wiem co...

— Czy nie wygodnie byłoby wykonać całą rzeźbę w pracowni i gotową wmontować?

— Oczywiście, ale tu jak pan widać do pozostałych części należało dorobić brakujące. Całość nie może być w połowie różna, ale zgodna z duchem stylu i epoki...

Takich twórców jak art. rzeźbiarz Halina Bojarska-Flisakowa, którzy mimo obowiązków rodzinnych z radością poświęcają Starówce wiele godzin pracy — jest tu bardzo dużo.

TYSIĄC PROBLEMÓW DZIENNE...

NIE wszystko i nie zawsze przy odbudowie Starego Miasta idzie jednak tak sprawnie i bez oporu jak tej rzeźbiarce, jako że nie wszyscy podchodzą jeszcze do swego obowiązku z jednakowym zrozumieniem wspólnego celu. Wiele trudności wynika też ze specjalnego charakteru robót na Starym Mieście.

— To nie jest normalna budowa — mówi główny dyspozytor inż. Mieczysław Strzelecki — ale jedyna w Polsce, śmiem zaryzykować twierdzenie, jedyna w Europie, i to stanowi jej główną trudność. Tu nie można zastosować żadnych wypróbowanych systemów ani zorganizować jakiegokolwiek zaplecza. Nie można też było wprowadzić współczesnych urządzeń technicznych tak bardzo ułatwiających pracę na innych budowlach.

Z głównym dyspozytorem inż. Strzeleckim, najpopularniejszą dziś postacią wśród budowniczych Starówki, który dzień w dzień od świtu do nocy uwija się po Rynku Starego Miasta — nie można dłużej mówić niż jedną minutę, aby ktoś o coś nie pytał, nie prosił, nie naglił, czegoś nie potrzebował...

W prowizorycznej kabinie oszklonej ze wszystkich stron, aby widać było całą budowę — przy biurku

głównego dyspozytora krzyżują się wszystkie sprawy budowy... Patrząc na zegarek i stawiam kreski w notesie: w ciągu piętnastu minut główny dyspozytor musiał odpowiadać, interweniować, decydować, ni mniej, ni więcej tylko 20 razy. I tak z godziną na godzinę po 80 — 100 zagadnień, po tysiąc problemów dziennie. A nie każdy z nich da się załatwić w ciągu minuty czy jedną decyzją.

Bo co np. zrobić jak w poniedziałek z rana nie stawilo się do pracy 10 — 20 osób i nie wiadomo, czy jutro przyjdą. Skąd nagle wziąć na ich miejsce innych. Przecie harmonogram nie czeka na drugi dzień, bo jutro jest nowy. A niewykonanie planu dziennego, to jak wyjęta z muru cegła, kilka takich i cały mur leży pod planem...

Co robić, jeżeli zbraknie takich czy innych materiałów. Jeżeli murarze otynkowali już ściany na glanz, a elektrycy nie zaprowadzili jeszcze instalacji. Jeżeli z kamienicy „Pod Fortuną” zdjęte już zostały rusztowania, a pomiędzy nią i tą drugą złoconą czernieje jak mucha w kremie — zaśnieżyła i niedoczyszczona blacha rynny...

— Patrzenie, inżynierze — zwraca uwagę inwestor — stać nas na złoto, a nie stać na porządek. Ta rynna tak nie może pozostać. Niech teraz wypożyczą drabinę strażacką i niech czyszczą...

Takie i tym podobne gaffy gonią wciąż jedna druga. Ale od tego są kierownicy budowy i główny dyspozytor, aby je likwidować i pchać robotę dalej...

WIDZIADŁA I FAKTY

BOLESŁAW Prus, który znał i kochał Warszawę, jak mało który z pisarzy, w roku 1911 napisał o powstaniu o Starym Mieście pt. „Widziadła”, które miały się ukazać w pierwszym numerze czasopisma „Kronika Warszawy”. Nie ukazały się wówczas i do dziś są mało znane. Bolesław Prus w opowiadaniu tym przedstawia historię Starego Miasta w obrazach, jakie pod wpływem wina ukazują się kilku gościom na ścianie u Fukiera. Warto przytoczyć z tych widziadeł dwa ostatnie:

Na jednym z nich było widać dzisiejsze Stare Miasto z jego kramami i niechlujstwem. Zdało się, że na chodnikach nigdy błoto nie wysycha i że ściany domu składają się nie z cegieł, ale z brudu.

— Oto skutki naszego niedbaństwa — wrzeszczał Pijankiewicz — gałga ny jesteście i basta.

— Staraj się mówić w liczbie pojedynczej — upominał go Poniewolski.

Ostatni obraz był po prostu cudownym zjawiskiem. To chyba nie Stare Miasto, ale jakiś gród fantastyczny. Domy wszelkich możliwych, ale jasnych, delikatnych barw, pokryte mało widłami i płaskorzeźbą niby szkatułki bezcenne. Treścią zaś malowideł historia każdego domu i jego właścicieli od kilku wieków. Rynek zamiast kamieni wyłożony również mozaiką. Na środku śliczny ogródek, płonący żywymi kwiatami. Pełno dzieci, uczniów, strojnych kobiet, cudzoziemców, którzy po to tylko przyjechali, ażeby zwiedzić nasze dzwido i złożyć hołd jego piękności i ciekawościom. Niektóre bowiem domy Rynku stały się muzeum zbiorów całego kraju.

W jakim stopniu marzenia Prusa spełniły się już — każdy może dziś, stając w Rynku stwierdzić to na własne oczy. Ponieważ jednak dopiero część Starego Miasta jest odbudowana — warto zobaczyć, jak wyglądałby dzisiaj całość, którą ilustruje plastyczny model na wystawie „Stare Miasto w odbudowie” — w kamienicy nr 2 przy ul. Świętojańskiej.

Widać tu wszystko dosłownie jak na dłoni. A więc najpierw od strony Podwala fosa wypełniona wodą, nad nią Barbakan, mury obronne, baszty, wieże i mosty... Między murze pełne drzew i zieleni, a dalej, jak na średniowiecznych sztychach, dość zwarta zabudowa z dużym pośrodku placem — to Rynek.

Dominującymi akcentami oprócz wież i baszt na murach są dwa zasadnicze punkty: wieża kościoła św. Marcina przy ul. Piwnej oraz Kolegiata; tuż obok widać kościół Jezuitów, dalej zaś zegarową wieżę Zamku, kolumnę...

Od strony Wisły murów nie ma: skarpa opada tu łagodnie tarasami ścieżek, zieleni i kwietników, kończąc się szeroką Wisłotrą, podobnie jak przy Mariensztacie.

Ogółem z terenem przy skarpi Starego Miasta obejmuje 15 ha, z tego ok. 40 proc. (59.500 m kw.), a więc prawie 6 ha przeznaczono pod zieleni. Powierzchnia przedwojenna zajmowała 12 ha. Przestrzeń tę, jak widać na planie, uzyskano przez „przewietrzenie” dziedzińców, gdyż linia zabudowy ciągów ulicznych pozostała nienaruszona. Dla polepszenia warunków mieszkaniowych i uzyskania zielonej oprawy w całym układzie plastycznym miasta — ma to ogromne znaczenie. Nastąpiło to w wyniku skrupulatnej analizy i długich studiów każdej poszczególnej parceli i jej zabudowania.

Całość zabudowy Starego Miasta w kubaturze wynosi ok. 420 tys. m sześć. Z tego 120 tys. przeznaczono na cele kulturalno-społeczne, jak muzea, wzorcowe rzemiosł i przemysłu artystycznego, kawiarnie, restauracje, winiarnie, punkty wyżynienia zbiorowego, domy, hotele turystyczne, a resztę — 300 tys. — na mieszkania.

Mieszkania w starych średniowiecznych domach a pięknych zabytkowych elewacjach, z nowoczesnymi kuchniami, łazienkami i wygodami.

Wszystko tu oprócz gnojowej góry, pręgierza, klatki dla przestępców i błota będzie jak dawniej przed wiekami.

A oto to, co mówią „strojne kobiety i cudzoziemcy”, o których wspomina Prus, że będą podziwiać Stare Miasto. Na wystawie jest bowiem złota księga, do której zwiedzający wpisują swoje uwagi. A oto kilka z nich wyjętych na chybił trafili.

— „Najbardziej podoba mi się ul. Piwna, przy której nie będzie już mieszkań w suterrenach, w jakich ja żyłam” — pisze jakaś robotnica.

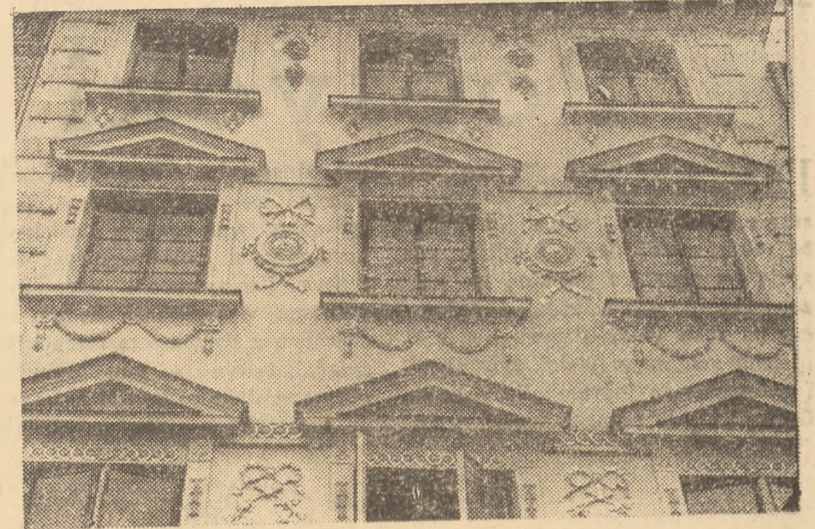
„Imponujący rozmach rozbudowy Starego Miasta napawa nas dumą i radością. Cześć naszemu inżynierowi i robotnikom” — 65-osobowa wycieczka z Wrocławia.

„Inaczej wyobrażałem sobie polską gospodarkę zanim tu przybyłem. Ale podejmowanie takich budowl możliwości jest chyba tylko w ustroju socjalistycznym” — pisze turysta z Niemiec zachodnich.

„Widzieliśmy odbudowę Starego Miasta Warszawy. Lud polski wykazuje tutaj wielkie umiłowanie swojej starej kultury, którą socjalizm pozwala odkrywać z takim pietyzmem” — stwierdzają goście francuscy.

„Możecie być dumni z waszego budownictwa socjalistycznego. Będziemy opowiadać wszystkim ludziom o waszej wielkiej pracy, którą przed chwilą oglądaliśmy własnymi oczami” — zapewniają Hiszpanie.

„Jestem starą warszawianką i miłośniczką dawnych pamiątek rodzinnego miasta...gdy stanęłam dziś w Rynku, w oczach zakręciły mi się łzy wzruszenia. Wyobrażam sobie jak pięknie będzie tu w dniu 22 lipca. Wdzięczna jestem Polsce Ludowej, która mi dała takie przeżycia”. — Warszwianka.



Bogate złozenia kamienicy Fukierów

Mateusz ŻURAWIEC

SPRAWA ZWIJALCZYKA

(fragment poematu)

1.

PORTRET

Pan Zwijalczyk jest mistrzem. Jego twarde dłonie Na klawiszach nie ciężą, lecz rozsądną muzyką Wygrywają tekst życia. Czasem tylko na skronie Sina żyła wystąpi, gdy przez szmer linotypu Słowo zbrodni się przedrze i zapłonie wspomnieniem.

Pan Zwijalczyk jest stary. Twarz ma prawie pogodną, Chociaż czas na niej wyrzył niewesołe koleje. „Na drukarni” go lubią nawet za tę niemodną, Lecz szacowną zasadę, że nim pierwszą przeleje Czcionkę w ołów gorący — czyni lekki znak krzyża.

Pan Zwijalczyk jest mądry. Politykę szanuje, Chociaż nienowoczesne ma poglądy w tej mierze. Lecz rozumie sens dziejów. Mówi: „Lepiej się czuję, Gdy mam pewność, że teraz zasiadł już w Belwederz Dobry Zecer. Nie zrobi błędu w nowej historii”.

Pan Zwijalczyk jest chory. Wojna wzięła mu żonę, Obóz — synów zamęczył, żandarm — odbił mu nerki. Rano sam musi sobie parzyć ziółka suszone, Sam się krzątać wśród swojej — Boże mój — „kawalerki” I sam — mleko gotować, by się strzec ołowicy.

2.

NAD RZEKĄ SŁÓW

Dzisiaj nocną ma zmianę. Nad szeroką słów rzeką Pochylony — wciąż słyszy jak świat huczy i walczy. Czasem męczą go słowa zbyt wytarte. Nielekko Słowom nieść ciężki ołów. Ale zecer Zwijalczyk Umie odkryć sens dziejów w słowach nader codziennych.

Oto drgnął. Znieruchomiał. Sina żyła na skroni Jak postronk związała nagle dwie różne myśli. W oczy bije zły tytuł: „Zbrodniarz Mannstein zwolniony”, Zecer wie, co to znaczy: Łeb podnoszą faszyści, Wypuszczeni na wolność, by wolności zagrażać.

Linotypy śpiewają. Pan Zwijalczyk nie pisze. Bola nerki odbite. Bola dawne wspomnienia. Palce nagle skostniały. Parzą chłodem klawisze. Stygnie ołów w kasecie. „Wypuszczony z więzienia...” Nie, za małe, za drobne są literki borgisu!

Sprawa czcionek czasem bywa w życiu zecera Sprawa jego sumienia, świadomości i serca. Borgis wtedy za mały. Trzeba mowy cycera, Tam gdzie razić nie może dzisiaj nawet i tercja. Zwijalczyka zrozumie Dobry Zecer — przywódca.

3.

ŚWIT W DRUKARNI

Świt w drukarni już okna pomalował różowo. Linotypy umilkły. Stygnie ołów i słowo.

Za oknami wiatr zbudził wczesny zapach akacji. Gmach drży lekko odgłosem przyspieszonej rotacji.

Już ktoś w ręce wziął pismo jeszcze ciepłe tchem maszyn. Za oknami akacje już witają chór ptasi.

Zecer zszedł po swój numer. Niby wszystko zwyczajnie, Tylko czcionka cycera krzyczy wciąż o Mannsteinie.

Pan Zwijalczyk wychodzi na ulicę wiosenną. Pierwszy tramwaj gdzieś dzwoni. Dzień — jak co dzień — codzienny.

Małe sprawy człowieka poczynają się znowu. W małych sprawach człowieka nowy rośnie wciąż człowiek.

Idzie zecer do domu. Jest w nim siła i spokój. Myśli zecer: „Cycero bardziej rzuca się w oko”.

Ludzie muszą pamiętać. Muszą czuć i walczyć. Wszyscy w walce potrzebni. Wśród nich — zecer Zwijalczyk.

Wiesław SZYMAŃSKI

Poetycki reportaż Ważyka

Dość niepokojący wydaje się fakt, że u niektórych poetów ze starszej generacji, która już przed 39 rokiem miała swoją ustaloną pozycję na polskim, możemy zauważyć po wyzwoleniu, a zwłaszcza po roku 1948, dziwną i niebezpieczną stagnację. Wciąż żywotnymi i twórczymi są jedynie Broniewski, Gałczyński, Jastrun. Pozostali ogr-

gał. Musi jedynie w tych faktach, z którymi się styka osobiście, zauważyć obiektywną prawdę i obiektywne novum, musi unieść wybierać to, co typowe. Rzeczywistość więc przedstawiona w reportażu będzie ściśle związana z tym, kto tę rzeczywistość oglądał, będzie z nim integralnie związana. Jako cechę charakterystyczną reportażu w ogóle, a reportażu

bardzo bogaty i wszechstronny — rozciąga się on od widoków kolektywnej pracy rolników chińskich (1) i „grozy jarmarcznej“ (15), do wnętrza sal uniwersyteckich i do „pokoiku niedużego“, w którym pracował kiedyś „Mao-Tse-tung, pomocnik bibliotekarza“ (8). I co dziwnejsze, przy tak obszernej problematyce, przy podaniu tylu konkretnych faktów, Ważyk nigdzie nie wpadł w szablony gazetowy, nigdzie w jego wierszach nie pojawia się publicystyczna oschłość, która przecież tak jest niebezpieczna dla tego rodzaju poetyckiego. Groźących na tym terenie niebezpieczeństw uniknął autor przede wszystkim dzięki wielkiej dbałości o wyraz artystyczny. Różnorodność kompozycyjna i bogactwo środków poetyckich wypoziwia w ramach niewielkiego tomu, ku są bowiem wprost zadziwiający. Chcąc np. wzmocnić element uczuciowy, ukształtuje Ważyk swą wypowiedź w formie zwrótu do kogoś. Będzie to więc spokojna i opanowana — niepozobawiona jednak szyderczej ironii apostrofa skierowana do „prezesów spółek akcyjnych“, informująca ich o tym, co zobaczył on, przybysz z Dalekiego Zachodu, w miastach niegdyś do nich należących (2), będzie i wypowiedź zwrócona do „bohatera dzielnego“ (6) i do „braci nieznanych“, ofiar „krwawego pionu Czang-Kai-szeka“ (9). Jeden raz przybierze ona nawet kształt zaimprovizowanego przemówienia, jak to ma miejsce w jedynym fragmencie obrazującym owacyjną przywitanie, które polskiemu poecie zgotowała chińska młodzież.



niezają się przeważnie do wydania raz na trzy lata „wierszy zebranych“ lub, gdy twórczość jest bogatsza „Wierszy wybranych“. Czym taki stan tłumaczyć? Czy nie jest to czasami taktyka „grubych ryb“ polegająca na zaciekawieniu, jakie wywołują bardzo rzadko pokazujące się tomiki? O ile tak, to musimy przyznać, że istotnie osiąga ona swe zamierzenia, ale równocześnie trzeba stwierdzić, że ze strony tych właśnie poetów nie jest to gra fair.

Estetycznie wydany (dzięki rysunkom Tadeusza Kulisiwicza) zbiorek poezji „Widziałem kraje środka“¹⁾ jest pozycją bardzo ciekawą nie tylko w twórczości Ważyka, ale i w szerszym kręgu obejmującym swym zasięgiem w ogóle całą współczesną twórczość poetycką w Polsce. Jest to zyczą bardzo ciekawą przede wszystkim dzięki swej odrębności. Nie da się bowiem ustawić go w linii ewolucyjnej dotychczasowego dorobku Ważyka, ani nie da się wskazać analogicznych pozycji w naszej poezji. O wiele pomysłniejsza sytuacja przedstawia się w prozie! Tutaj reportaż jest gatunkiem dość często uprawianym, niejako nawet obowiązującym tych pisarzy, którzy mieli sposobność zapoznać się z rzeczywistością mniej lub bardziej odległą od panującej u nas. Małian Brandys, po swym powrocie z kraju, wydał „Spotkania włoskie“, owocem podróży Różewicza są „Kartki z Węgier“, Putrament w ciągu swego trzydziestoletniego pobytu na Dalekim Wschodzie pisał „Notatnik chiński“...

Reportaż poetycki pierwszy dopiero stworzył Ważyk. Pojawiały się u nas co prawda cykle wierszy związanych z jakimś terenem czy z jakimś wydarzeniem, ale nie był to jeszcze gatunek, który moglibyśmy nazwać tym mianem. Co to jest więc reportaż? Innymi słowy — to sprawozdanie z pewnego wycinka rzeczywistości, jaki dostrzegł świadomy i wyrobiony obserwator. Oczywiście, obserwator taki w ciągu swego, zazwyczaj krótkiego, pobytu w nieznanym terenie — nie może poznać wszystkiego, jest to prawie niemożliwe, zresztą nikt by tego nie wyma-

poetyckiego w szczególności, możemy zatem wysunąć piętno osobiste twórcy, który słowem swoim niejako gwarantuje prawdziwość tego co widział. Tę cechę gatunkową Ważyk zaznacza nie tylko w tytule swojego tomiku. „Widziałem ziemię bezdrzewną... widziałem pola uprawne“, (1) 2) „Widziałem Han-keu fabryczną“ (2), „Widziałem grotę Ta Tungu, dzieło na miarę piramid“ (4) ... — w każdym niemal fragmencie Ważyk zaznacza, że on to sam widział, że sam obserwował i sam wyciąga wnioski. Zanim przejdziemy do materiału obserwacyjnego zebranego przez Ważyka w czasie podróży po Chinach, trzeba by jeszcze przedtem zwrócić uwagę na drugą dość ważną, chociaż nie obowiązującą cechę reportażu, a przede wszystkim reportażu poetyckiego, na jego fragmentaryczność. Reportaż fabryki oczywiście nie będzie fragmentaryczny, ale czyż da się w ten sam sposób przedstawić obiektywnie i całościowo to, co prozaik widział w ciągu swego miesiąca pobytu w Chińskiej Republice Ludowej? A cóż do piero mówić o trudnościach, jakie stają przed poetą, który ma wykonać podobne zadanie? — Wykonać jednak można. Najlepszym przykładem — tomik Ważyka. Wiecej: Ważyk potrafił to uczynić w stosunku do krótkich wierszy lirycznych. Stało się to możliwe dzięki temu, że w tych swoich kilkunastu wierszach, jak gdyby obrazach malowanych podczas całej podróży, zawarł on jedną, ogólną prawdę, jaka jest faktem tylko witej przebudowy społecznej i gospodarczej dzisiejszych Chin. By jednak taka ogólna prawda wyraziła — trzeba było w poszczególnych fragmentach ufać inne prawdy szczegółowe, najbardziej jednak typowe, najbardziej ważne i niezbędne do całkowitego obrazu. I tak np. w grocie Ta Tungu Ważyk dostrzega nie tylko „legionów bogów maleńkich“ i „bogów średniej wielkości“, dostrzega równocześnie, że ci ostatni mają odłupane głowy, gdyż kapitaliści z Tokio i Waszyngtonu zabrali je sobie kiedyś „na pamiątkę“ (4).

Zakres spostrzeżeń Ważyka jest

bawi się badyłem w kształcie podwójnej gruszki. (10)

Do ostatnich prawie zdań nie świadczy o tym, że badyłem mieli do czynienia z poezją. Ot, spokojna, narracyjna proza, którą — co najwyżej — przychodzą dwa gnomiczne sformułowania: „Od każdej nędzy była większa nęcza. Umarli z głodu nie mówią“. Dopiero w finałowym fragmencie zestąpił skondensowany cały ogrom uczucia. Choć i ono nie jest wyrażone bezpośrednio, gdyż element liryczny został właściwie wygrany przy pomocy przemilczenia. Cóż tu takiego za chodzi? Poeta zamienia u chłopca chińskiego fotografię córki na „badył w kształcie podwójnej gruszki“. Wyobrażamy sobie, jak ten przedmiot wygląda, nie wiemy do czego służył. Spełniał jednak zapewne w chałupie chińskiego chłopca dość znaczną rolę — może symboliczną? Całość kończy się lakonicznym zdaniem: „Moja córka bawi się badyłem w kształcie podwójnej gruszki“ (drugie powtórzenie rozwiniętego motywu). A przecież nie jest to zwykła zamiana. Przy pomocy niewielu właściwie zdań poeta wyraził zbratanie się dwóch kultur, dwóch — jakże odległych od siebie — narodów. Przeprowadziliśmy tę dłuższą analizę, by wykazać, że nie najwięcej wyraża się wtedy, gdy się dużo mówi. Wprost przeciwnie — najwspanialsze, najbardziej wzruszające momenty można wygrać przy pomocy jak najdalej posuniętej ekonomiczności środków wyrazu. Chcieliśmy

również zasygnalizować możliwość rozwoju w naszej literaturze tego gatunku, jakim jest właśnie poezja proza. Rodzaj ten jest już dość dawno znany: w dobie obecnej nie znalazł jednak jeszcze u nas szerszego kręgu zwolenników.

Pozostała do omówienia sprawa „środków“ zawartego między dwoma antypodami. Środek ten — to jak gdyby w pewnym sensie średnia arytmetyczna wynikająca z sumy dwóch omówionych już poetyk. Z pierwszej pozostało tu dość częste posługiwanie się takimi elementami wyrazu, jak anaforyczny okres — z drugiej doszedł wiersz wolny zorganizowany na mniej lub bardziej trudnych do uchwycenia zasadach intonacyjnych. Dzięki takiej kontaminacji powstała wiersze urzekające swą prostotą (prostota nie pokrywa się z ubóstwem) i bezpośredniością, wiersze, które mają głęboki sens ideologiczny, a prócz tego potrafią wzruszyć

Jakież wartości wnesi tomik Ważyka do ogółu współczesnej poezji polskiej? Dość ważne. Kryją się one przede wszystkim w samym fakcie ukazania młodym twórcom nowych możliwości tkwiących przed naszą poezją, kryją się po drugie w bogactwie niewielkiego tomiku.

Obie te wartości w pełni rekompensują długie milczenie poety.

¹⁾ Adam Ważyk, Widziałem kraje środka, Czytelnik 1953 Str. 33 + 3 nłb.
²⁾ Całość składa się z wierszy oznaczonych nie tytułami lecz cyframi.

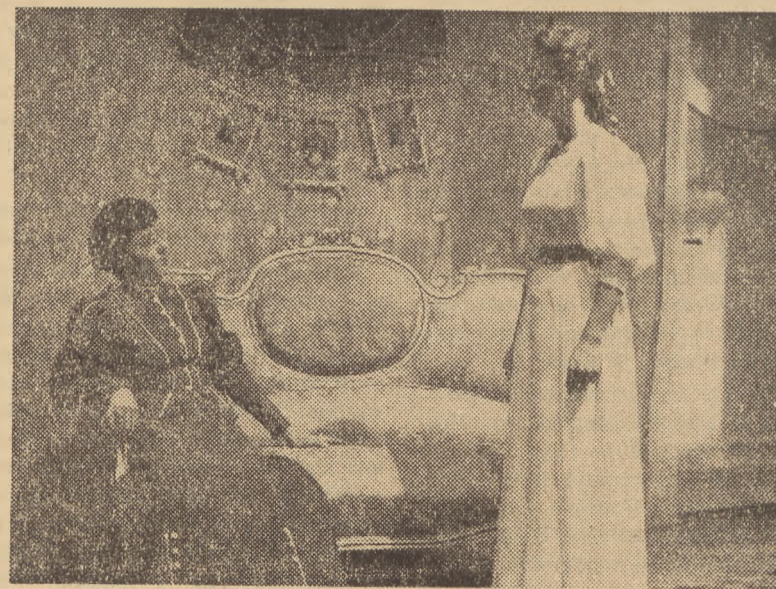
BAROMETR TEATRALNY ZWYŻKUJE

(Dokończenie ze str. 7)

Do najtrudniejszych ról sztuki należy postać adwokata Bukowicza, pełna metamorfoz od zadufanej w sobie, młodzieńczej pustoty, poprzez kapitulację etyczną i oportunizm życiowy do skrajnego cynizmu, efektu rozkładowej atmosfery świata, do którego młodego człowieka wprowadziła Parmen. Władysław Głębik włożył wiele pracy w opanowanie tak szerokiej skali przemian. Najwyraźniejsze sukcesy osiągnął w I i II akcie. Odnalazł prawdę przeżyć w powikłanych sytuacjach aktu trzeciego. Akt końcowy nie wypadł w równym diapozonie, po części z winy zakończenia, nie sięgającego do poziomu na-

odmienny od pozostałych rywalów o serce Bukowicza. Nieduża, sugestywna rola starej robotnicy Wuliczki w IV akcie (J. Sachnowska) wystarczyła za szczegółową charakterystykę waleńców etycznych i obyczajów środowiska proletariackiego, w którym schroniła się Anna.

„Grzech“ poznański stanowi pierwsze przedstawienie opracowane pod nową dyrekcją i kierownictwem artystycznym Aleksandra Gąssowskiego. Wysokie osiągnięcia aktorskie oraz fakt, że potrafią wciągnąć do współpracy wybitnego inscenizatora stołecy, budzą w kręgach miłośników teatru jak najlepsze nadzieje. Ostat-



Państwowy Teatr Polski w Poznaniu — „Grzech“ St. Żeromskiego, Zofia Rysiówna (Parmen) i Urszula Modzyńska (Anna)

pięć dramatycznych aktów poprzednich. Niemniej jednak kreacja ta, zamknięta pierwszym sezonem pracy Wł. Głębika na scenie poznańskiej, stanowi zarazem jego najlepsze, zasłużone osiągnięcie.

Zarówno M. Kiernikówna w roli Janiny, jak i J. Kossowska (Ogrodzka) współgrały trafnie z pierwszoplanowymi postaciami, przyczyniając się do utrzymania spektaklu na wyrównanym poziomie. Trudna partia Janiny w scenie zbiorowej z I aktu zarysowała wyrazisty portret kobiety,

nie bowiem nie tylko recenzent, lecz i stroskany widz pukał raz po raz w szybki barometr teatralny, patrząc, czy skoczy w górę, czy nie skoczy? Czy w aurze senniejszej zanosi się na odmianę, czy na dalszy zastój?

Po niedawnej udanej realizacji dramatu Rittnera „W małym domu“ w Nowym, ujrzelśmy bardzo dobry spektakl w Polskim. Z radością możemy stwierdzić, że barometr życia teatralnego nad Wartą zwyżkuje.

Leszek Prosz

O POGLĄD NA PAŃSTWO
WSPÓŁCZESNE

KRÓTKIE omówienie podstaw katolickiej nauki o państwie prowadzi nas z kolei do postawienia problemu konieczności posiadania przez katolików jasnego poglądu, czym jest właściwie państwo współczesne, a w szczególności państwo socjalistyczne.

Tylko wtedy bowiem wychodząc z katolickich założeń dotyczących państwa w ogóle można prawidłowo pojmować stosunki Kościoła i państwa i być czynnikiem twórczym w państwie nowego typu, jeśli rzeczywistość zdaje się sobie sprawę z istoty tego współczesnego państwa nowego typu, w którym nam żyć wypadło.

Nauka prawa i państwa wyrosła na gruncie epoki ustroju liberalno-kapitalistycznego i formalnej demokracji mieszczańskiej niezależnie od dużego zróżnicowania koncepcji państwa i prawa, przyjmowała właściwie powszechnie mniej więcej następującą definicję państwa: państwo jest to związek społeczny (różnokrewny) wyposażony w zwierzchnią władzę na określonym terytorium. Takie pojęcie państwa daje się streścić do trzech podstawowych elementów charakterystycznych i koniecznych dla istnienia państwa. Pierwszym elementem jest ludność, związek społeczny. Poruszony przez nas w nawiasie moment różnokrewności akcentowany jest bardziej w socjologii dla odróżnienia od innych związków społecznych niż w prawniczych definicjach państwa. Drugim elementem koniecznym dla państwa jest władza zwierzchnia, a trzecim wreszcie określone terytorium.

Takiemu pojęciu państwa rzecz prosta formalnie nie zarzucić nie można, poza tym, że nie wyczerpuje ono istoty rzeczy. Odpowiedź, jaką daje ono na pytanie, czym jest właściwie państwo współczesne, jest oczywiście nie wystarczająca. Nie jest naszym zamiarem szczegółowe zajmowanie się prawniczymi, lub socjologicznymi zagadnieniami łączącymi się z problemem państwa, takim np. jak teorie powstania państwa, lub czy suwerenność jest konieczną cechą państwa itd., musimy jednak zwrócić pokrótce uwagę na te elementy, które współcześnie stanowią istotę i treść życia państwowego niezależnie od wielkich procesów, które do obecnego stanu doprowadziły. Otóż nie ulega wątpliwości, że istota państwa współczesnego są czynniki ekonomiczne, klasowe, one to nadają rzeczywistości treść życia państwowemu. Państwa wyrosłe po przełomie wielkiej rewolucji francuskiej opierały swój ustrój społeczno-gospodarczy na zasadzie liberalizmu i wolnej konkurencji, zaś ustrój polityczny na zasadzie formalnej demokracji, z klasycznym monteskiuszowskim podziałem władz, istotę tych państw stanowiła jednak władza jednej klasy — burżuazji nad klasami wyzyskiwanymi — proletariatem fabrycznym i chłopskim.

Będziemy tutaj abstrahować od zwyrodnienia faszystowskich i totalitarnych, w jakie popadł ustrój szeregu państw demoliberalnych. Choć liczba państw faszystowskich oraz ich rola w historii pierwszej połowy bieżącego stulecia niezaprzeczenie wskazuje, że zwyrodnienie faszystu nie stanowiło przypadku historycznego, ale było logiczną konsekwencją podstaw państwa demoliberalnego, które nie mogło się ostać w wewnętrznych sprzecznościach.

Burżuazja musiała w tych państwach przywołać na pomoc klki faszystowskie nie mając dość siły do ujarznienia klas wyzyskiwanych. Problem niemiecki, gdzie wielka burżuazja przemysłowa i mieszczaństwo powierzało pęgarczanemu nota bene Hitlerowi władzę, jest to typowy, tak klasyczny, że stanowi on najlepszą ilustrację problemu.

W tej chwili chodzi nam jednak o niesfaszystowskie państwa demoliberalne. Cała ich formalna demokracja, klasyczny podział władz i wszystkie te tak liczne gwarantowane wolności konstytucyjne nie miały nic wspólnego z rzeczywistą demokracją i równością ekonomiczną. Klasowy podział i klasowa walka w społeczeństwach tych państw była dominującym czynnikiem życia. Klasy posiadające były jedynym faktycznym gospodarzem tych państw. Te klasy miały w kieszeni prasę, radio i wszystkie środki oddziaływania ideowego, te klasy kupowały posłów i większość parlamentu, ministrów i całe gabinety. Partie lewicowe mogły wprawdzie działać legalnie w odróżnieniu od państw faszystowskich, ale rzeczywiste rządy sprawował kapitał, tam gdzie trzeba płacić, a tam gdzie trzeba posługując się innymi środkami, z arcywymysłowymi ordnancjami wyborczymi i całym kunsztownym aparatem wpływu na opinię.

Podobnie w istocie rzeczy wyglądały sprawy w krajach anglosaskich, Anglii i U.S.A., których dwupartyj-

ny system parlamentarny był dla mieszczańskiej koncepcji prawa państwowego mitem doskonałości. Trzeba umieć zdawać sobie jasno sprawę, że dwupartyjne systemy rządowe i cała wewnętrzna struktura krajów anglosaskich nie eliminowała sprzeczności klasowych. Wysoki w porównaniu z innymi krajami poziom cywilizacji i dobrobytu w tych państwach, oraz ich wewnętrzna zrzęsta wcale nie jednokrotnie struktura, były wynikiem bardzo wielu skomplikowanych czynników, które działały przez dziesiątki, a nie raz setki lat. Położenie geograficzne, lata bogacenia się kosztem wyzysku kolonialnego i eksploatacji innych krajów, zarobki na wojnach, w których nie brało się udziału, wreszcie specyfika tradycji rozwoju gospodarczego i kulturalnego, oto część przyczyn, które złożyły się na ustrój i poziom cywilizacyjny Anglii i U.S.A. Natomiast przeciwieństwa klasowe w tych krajach istnieją podobnie jak w innych, wyrażają się tylko inaczej i czasem na pewno mniej ostro niż w krajach uboższych i eksploatacyjnych. Ale dochoż w tych krajach, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, jeszcze jeden czynnik przesądzający charakterystyczny ich ustrój. Czynnikiem tym jest konieczność wojny dla wielkiej gospodarki kapitalistycznej, dla utrzymania swej równowagi gospodarczej, zapobieżenia nadprodukcji i zdyktowania pewnych rynków zbytu.

Kapitalizm, który zrodził się na zasadach laise faire, jest już dzisiaj tylko w minimalnym stopniu systemem liberalizmu gospodarczego. Kapitalizm jest dzisiaj w stadium monopolistycznym. Koncentracja kapitału stworzyła w dziesięciu Ameryce klasyczne zjawisko jego pełnej dyktatury politycznej.

Dyktatura kapitału jest bardzo przemysłna, bo utrzymuje nadal cały aparat parlamentarny i urzędowy formalnej demokracji, ale opiera go i kieruje nim w sposób nie do zostawiający żadnych złudzeń co do rzeczywistej sprężyny władzy politycznej.

Klasyczny jest obraz brutalności kapitału U.S.A. w stosunku do rządów krajów zachodniej Europy, gdzie kapitał jest niewątpliwie mniej zcentralizowany, a więc gdzie rządzi szerszy wachlarz wielkiej burżuazji i mieszczaństwa. Z powodu zdecydowanego sprzeciwu społeczeństw wojenna polityka musi być tam wolniej realizowana niż w U.S.A. Stąd ciągła brutalność i presja Amerykanów w stosunku do rządów i społeczeństw zachodnio-europejskich. Stąd też nie nawiści tych społeczeństw wobec amerykańizmu. Nawet poważna część burżuazji tych krajów, np. Francji nie kryje się ze swoją niechęcią wobec U.S.A.

Tak więc współczesne państwo kapitalistyczne jest państwem klas posiadających, które w nim gospodarzą i rządzą. Poza funkcjami prawnoprzakładowymi jego istotną funkcją jest obrona interesów klas posiadających i rządzących. Na tym polega istota treści życia państwowego w krajach kapitalistycznych.

ZWYCIĘSTWO rewolucji państwowego nowego typu, państwo socjalistyczne. Rewolucja dokonywała się i trwa dziś w oparciu o cenę dotychczasowego porządku społecznego, jaką dał marksizm — leninizm. Marksizm-leninizm stworzył także teoretyczną koncepcję nowego państwa socjalistycznego, która wynika z rozwoju dziejowego i która rewolucja praktycznie realizuje. Trzeba zdobyć się, niezależnie od różnic światopoglądowych, na przyznanie słuszności założeniom marksizmu-leninizmu, dotychczas państwa kapitalistycznego i budowy państwa socjalistycznego. Tym bardziej, że założenia te zostały potwierdzone przez życie. Teoria marksizmu-leninizmu i praktyka istniejących państw socjalistycznych lub dążących do socjalizmu uczy, że państwo socjalistyczne w epoce dyktatury proletariatu jest i musi być państwem klasowym. Nie ma bowiem innego sposobu zrealizowania ustroju sprawiedliwości społecznej, jak przez państwo klasowe. Tylko, że socjalistyczne państwo klasowe jest państwem mas pracujących z najbarczajszą rewolucyjną klasą robotniczą na ciele, a nie mieszczańsko-monopolistycznym państwem w reku klasy burżuazji, której, która utrwalając swe panowanie nie klasowe w przeciwnieństwie do klasy robotniczej nie może doprowadzić do zniesienia podziału klasowego w ogóle.

Państwo socjalistyczne jest państwem dyktatury proletariatu. Dyktatura ta jest konieczna wobec klas dawniej posiadających i wyzyskiwanych, które dobrowolnie i bez walki nie rezygnują z utrzymania dawnej

Problem państwa

Dokończenie ze str. 5

pozycji. Wyparte z tych pozycji usiłują na nie wrócić, dopóki mają jakąkolwiek bazę ekonomiczną w postaci nieuspołecznionych środków produkcji w mieście lub na wsi. Dlatego uspołecznienie środków produkcji w przemyśle i zespolowa gospodarka na wsi są podstawą dalszego budownictwa socjalistycznego i ostatecznego wyparcia klas posiadających. Państwo socjalistyczne jest instrumentem klasy robotniczej i mas pracujących w walce klasowej i przemianie ustroju społecznego. Walka ta odbywa się poprzez ścisły sojusz klasy robotniczej i chłopstwa. Sojusz ten jest podstawową przesłanką osiągnięcia państwa budującego socjalizm.

Tak wygląda dziś życie, taki jest obiektywnie istniejący stan rzeczy, że mamy dwa typy państw, oba klasowe, ale oba służące innym klasom i innemu porządkowi społecznemu. Państwo kapitalistyczne jest narzędziem wyższemu w rękach klas posiadających. Państwo socjalistyczne jest narzędziem budowania nowego ustroju, opartego nie o fikcyjną formalną, ale o rzeczywistą sprawiedliwość społeczną. Trzeciego typu państwa nie ma pod słońcem, tak jak nie ma w rzeczywistości w praktyce trzeciej siły politycznej między kapitalizmem a socjalizmem. Niezależnie od perspektyw państwa socjalistycznego, które siła rzeczy będzie podlegała za nikim swej istotnej klasowej funkcji w miarę powstawania społeczeństwa bezklasowego, w tej chwili musi nas interesować obiektywnie istniejący stan rzeczy. Zdając sobie z niego sprawę katolicy muszą postawić sobie kapitalne zupełnie pytanie, dotyczące stosunku katolickiej nauki o państwie, wobec obiektywnie istniejącego państwa socjalistycznego. Pytanie to zachodzi tak w dziedzinie teorii, jak i w praktyce i określa stosunek katolików do państwa socjalistycznego, w którym żyją i pracują. W gruncie rzeczy pytanie to w życiu jest praktycznie rozstrzygnięte; inaczej bowiem być nie może, katolicy tak, jak wszyscy ludzie muszą chodzić po ziemi, a co więcej powinni po niej chodzić z postawą aktywności i wewnętrznej odpowiedzialności za bieg wypadków. Dlatego zdanie sobie sprawy z tego, czym w istocie swej jest państwo współczesne nasuwa nam nieuchronnie następny problem stosunku katolickiej nauki o państwie do państwa socjalistycznego.

ZASADY KATOLICKIEJ NAUKI
O PAŃSTWIE
A PAŃSTWO SOCJALISTYCZNE

ZASADY katolickie w odniesieniu do nauki o państwie są głęboko konstruktywne społecznie, zawierają źródła ideowe pobudzające człowieka do aktywności dla społecznych zadań państwa. Katolicy znajdują w swym poglądzie na świat motywację moralną aktywności i ofiarności w ramach organizacji państwowej, która jest naturalnym i koniecznym związkiem społecznym. Dla państwa katolika wobec państwa socjalistycznego poważne znaczenie ma od powiedź na sformułowane wyżej pytanie, czy katolicka nauka o państwie odnosi się także do państwa socjalistycznego, które jest typowe dla formacji społecznej zaczynającej się właśnie na świecie. Pytanie to, rzecz prosta, jest interesujące dla katolików, a nie dla marksistów, którzy interesują się funkcją i skutkami społecznymi naszych koncepcji, wyrastających na odrzuconych przez nich przesłankach światopoglądowych.

Rozważania nasze należy zacząć od zwrócenia uwagi na teoretyczną niemożność utrzymania tezy, że katolicka koncepcja państwa odnosi się tylko do określonego rodzaju państwa, a w szczególności nie odnosi się do państwa socjalistycznego. Katolicka nauka o państwie wychozi z założenia niezmiennej natury ludzkiej i niezmiennego popędu społecznego człowieka. Właśnie natura ludzka determinuje fakt, że człowiek na danym szczeblu rozwoju żyje w społeczności państwowej. Dopóki więc rozwój nie przyniesie likwidacji organizacji państwowej, tak długo człowiek musi, ze swoim zresztą pożytkiem duchowym i materialnym, w ramach tej organizacji państwowej żyć i rozwijać się. Zmiana formacji społecznej, choćby tak zasadnicza jak przełom epoki kapitalizmu w epokę socjalizmu nie przynosi według pojęć katolickich zmiany natury człowieka, choć na pewno zmienia wszystkie uwarunkowania społeczne, tak bardzo na tego człowieka oddziaływające. Dlatego naturalne właściwości człowieka znajdują

swoje ujście w państwie nowej epoki socjalistycznej. Tym bardziej, że po raz pierwszy jest to państwo, którego nie formalnym, ale rzeczywistym założeniem jest pożytek i rozwój człowieka. Absurdem więc byłoby twierdzić, że katolicka, głęboko społeczna nauka o państwie nie może stosować się do państwa socjalistycznego i że nie może człowieka dynamizować do pracy i ofiarności właśnie w tym, państwie.

To też bardzo szybko praktyka życiowa po zetknięciu się katolicyzmu z rewolucją stworzyła fakty świadczące, że Kościół zaczął wobec państwa socjalistycznego podkreślać swój zwykły konstruktywny dla społeczności państwowej stosunek i założenia.

Pierwsze zetknięcie się Kościoła katolickiego z państwami socjalistycznymi dostarczyło dowodów, że Kościół w praktyce życiowej, niezależnie od różnic światopoglądowych, uznaje państwo socjalistyczne, jako związek społeczny spełniający funkcje państwa, a więc naturalny i konieczny. Nigdzie Kościół tego nie deklarował, ani nikt w wojnie nie zastanawiał się publicznie nad stosunkiem katolickiej nauki o państwie do państwa socjalistycznego, a e życie przesądziło sprawę. Świadczy o tym sam fakt porozumienia Kościoła i państwa z 1950 r.

Kościół katolicki w praktyce, która przecież nie może przeczyć jego doktrynie i zasadom, uznaje państwo socjalistyczne za obiektywnie istniejący fakt społeczny. Charakterystyczne jest przy tym, że niezależnie od wspomnianych już wyżej różnic światopoglądowych między Kościołem katolickim a państwem socjalistycznym przed wszystkim przez marksistów, oraz niezależnie od pojawiających się w Polsce trudności między Kościołem a państwem, Kościół już właściwie od okresu zwarcia porozumienia przyjął i posługiwał się terminem: „Polska Ludowa“ na określenie państwa polskiego. Rzecz prosta, nie mogło to się dziać przypadkowo i nieświadomie, a treść terminu „Polska Ludowa“, odpowiada treści klasowego państwa socjalistycznego.

Omawiając poglądy św. Augustyna wskazywaliśmy, że ani z jego założeń, ani w ogóle z doktryny katolickiej nie wynika, że Kościół uznaje tylko państwa wyznające założenia naszej religii. Katolicka nauka o państwie ujmując państwo jako naturalny i konieczny związek społeczny popierałaby w absurd przypisując te cechy tylko państwu epickracującemu się o założenia chrześcijańskie. Oczywiście zdobyć idealogiczne nastawienie katolicyzmu zawiera w sobie tendencję i życzenie przepajania treści życia każdego państwa zasadami katolicyzmu. Ale nie wynika z tego bynajmniej, że państwo achrześcijańskie nie może spełniać swych ziemskich funkcji społecznych, ważnych dla rozwoju człowieka. Niezależnie od tego katolicy mają pełne prawo zachować swe przekonanie, że pełny rozwój człowieka zależy przede wszystkim od wartości duchowych, które przynosi mu religia katolicka.

Jeśli więc achrześcijański charakter państwa nie jest przeszkodą, by katolicy stosowali do niego zasady katolickiej nauki o państwie, to z kolei zastanówmy się, czy przeszkodą takiej nie stanowi ustrój polityczny lub społeczno-gospodarczy państwa socjalistycznego.

Snruwa polityczna jest najprostsza. Przytoczone przez nas wyżej poglądy św. Tomasza z Akwinu i w ogóle cała katolicka literatura tego tematu oraz praktyka życia dowodzi, że Kościół urzędowo ustrojowo pozostawia w ciągu wieków przemysłności ludzkiej. Ludzie czerpią zasady ustroju politycznego nie bezpośrednio jako konkluzje z prawa natury, lecz wprowadzają je własną przemysłnością.

Bardziej skomplikowane ma się rzecz z ustrojem społeczno-gospodarczym. Tu wśród katolików istnieje istotny spór, dotyczący zagadnienia własności. Wykazaliśmy jednakże na tych łamach, że uspołecznienie własności w państwie socjalistycznym nie stoi w sprzeczności z postulatami personalizmu katolickiego oraz z zasadami prawa natury. Ustrój oparty o własność społeczną w gruncie rzeczy daje lepsze perspektywy dla rozwoju osobowości ludzkiej niż ustrój wyższemu, oparty o własność indywidualną. Prawo natury zaś nie przesądza czy własność ma być wykonywana indywidualnie czy społecznie. Własność nie jest pierwotnym prawem natury, ale jest z niego jedynie dedukowana przy postawieniu form przemysłności ludzkiej.

Uspołecznienie własności nie stanowi więc doktrynalnej przeszkody dla stosowania katolickich zasad nauki o państwie wobec państwa socjalistycznego. W tej dziedzinie, podobnie jak w sprawie problemu walki klas w państwie socjalistycznym, potrzebna jest gruntowna praca teoretyczna, prowadzona w najgłębszej trosce o doktrynalną czystość katolicką, gdyż te ważne problemy są stosunkowo bardzo mało rozpracowane, ale niezależnie od konieczności pogłębienia sformułowań, nie może już ulegać wątpliwości konieczność włączenia się katolików w całym oddaniem w sprawę budownictwa socjalistycznego w państwie ludowym, które na obecnym etapie rozwoju społecznego najlepiej służy indywidualnym i społecznym potrzebom człowieka.

Oczywiście socjalizm w państwie ludowym jest stale jeszcze zadaniem, a nie całkowicie istniejącym faktem. Ten stan z jednej strony musi mobilizować do walki o realizację socjalizmu, a z drugiej strony ustawia we właściwym świetle trudność życia w społeczeństwie dążącym do socjalizmu, przy istnieniu okrucenia kapitalistycznego i niebezpieczeństwa wojny, którego zaangażowanie pochłania tyle wysiłków.

KOŚCIÓŁ W HISTORII

RELIGIA katolicka ma charakter nadprzyrodzony, Boski, a Kościół katolicki jest transcendentny w stosunku do historii. Prawdy katolicyzmu są wieczne, a depozytariusz tych praw, Kościół powszechny, ma je nieśd do wszystkich ludów i we wszystkich czasach. Dlatego łącznie Kościół z jakąś jedną przemijającą epoką społeczną, z okresem na formację lub porządkiem państwowym, jest sprzeczne z istotą i rolą Kościoła. Podobnie założenia doktryny katolickiej są związane nie tylko z jedną przejęciewo formacją, nie mają one służyć tylko danemu społeczeństwu i danemu państwu, są dla wszystkich formacji społecznych. Stąd wiązanie katolickiej nauki o państwie z konkretnie istniejącym państwem kapitalistycznym, a zaprzecanie jej odniesienia do konkretnie istniejącego państwa socjalistycznego byłoby sprzeczne z transcendentnym charakterem podstawowych założeń katolicyzmu, byłoby wypaczeniem go i szkodeniem mu.

Poruszenie tego zdawałoby się praktyczno-politycznego i nieco odległego od interesującego nas problemu, zagadnienia jest jaknajbardziej konieczne tak teoretycznie jak i praktycznie. Zachodnie państwa kapitalistyczne usiłują w sposób czynny nadużywać chrześcijaństwa dla celów politycznych. Państwa te przed stawiają się opinii jako obrońcy i głosiciele chrześcijaństwa, choć czasem chrześcijaństwo ich jest anemiczne. Dotyczy to przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Państwo kapitalistyczne nie ma nic wspólnego z chrześcijańskimi pojęciami społecznymi, ale w walce z komunizmem szerzy je tymi właśnie pojęciami. Ukuto tam napierw defenzywnie na pozór hało „Obrona chrześcijaństwa“ przed komunizmem, by rychło zamiecić je na ofenzywnie zawołanie do „krucjaty wojennej“ przeciw komunizmowi i „chrześcijańskiej integracji Europy, aż po Ural“. Cała koncepcja tej kapitalistycznej krucjaty stoi w rażącej sprzeczności z zasadami religii katolickiej. Ale chyłaje się ku upadkowi państwo kapitalistyczne, chwytając się każdego dogodnego środka do walki o przedłużenie własnego życia, choćby środek ten wypaczał i szkodził wartościom nadprzyrodzonym i religijnym.

W tej sytuacji na katolikach społeczywa odpowiedzialny obowiązek odkrywania zbrodniczej treści planów „krucjaty“ wojennej. Katolicy żyjący w obrębie ustroju i państw socjalistycznych najlepiej będą to robić, włączając się do wielkiego budownictwa, jakie organizuje państwo socjalistyczne w przekonaniu, że to państwo najlepiej realizuje potrzeby człowieka w naszej epoce.

Katolicy będą tym bardziej aktywni i świadomie współdziałali w budownictwie państwa socjalistycznego, im pełniej będą rozwiązywane w duchu dwustronnego porozumienia, wszystkie społeczne problemy interesujące tak Kościół katolicki jak i państwo socjalistyczne. Funkcja społeczna linii dwustronnego porozumienia Kościoła i państwa urasta w tym ustawieniu do zupełnie zasadniczego problemu. Trzeba jedną powiedzieć, że rozumieć i skutecznie realizować linię dwustronnego porozumienia, jeśli chodzi o stronę katolicką można tylko wtedy, kiedy rozumie się i aprobuje charakter państwa socjalistycznego wraz z jego podstawowymi społecznymi założeniami polityczno-gospodarczymi.

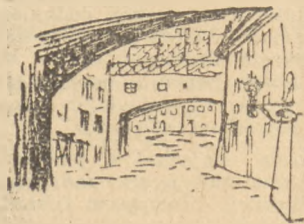
Andrzej Micewski

M. BIESZCZADOWSKI

PRELUDIA

I

Spójrz na tęczy ogród —
a wczoraj śnieg i popiół —
i nagle weszły domy,
z paków wykwitły okna



Ogrodnicy przychylni
tulili mury jak drzewa.
Teraz pachnie tu wiosną
i śpiewem.

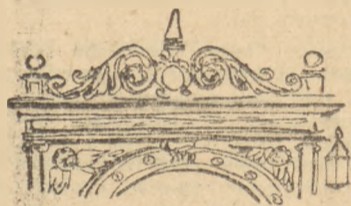
II

Dziękuję — budowniczym
za domy kolorowe,
Dziękuję — robotnicy
za wdzięk ulicy.



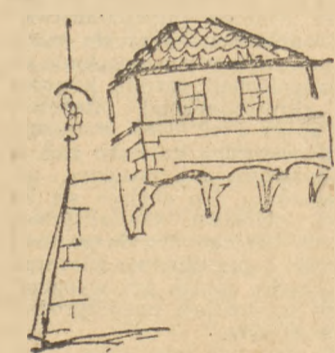
W prostym dziękuję słowie
za trud — budowniczym
za smukłość kamienicy
kłaniam się — robotnicy.

Artyści — wasze ręce
srebrnie zaśnią w piosence
Jeszcze nim rynek uśnie
dla was ten śpiew i uśmiech.



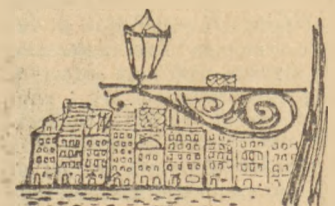
III

Wieczorem niskie gwiazdy
patrzą w zbudzone miasto
w szybach się przegładają
nim zasną.



Wieczorem latarenki
jak refreny piosenki
kołyszą krokiem młodych
idących w ogród.

Miasto kwitnie w kamieniach
cień gołębia je zmienia
w zatokę barwnej ciszy,
słyszysz?



Dzielnico odrodzona
ze snu, z wiary najczulszej
uśmiech tobie i twórcom —
uśmiech.

Kilka słów o:

Plastyce

NAGRODY NA WYSTAWIE
PLAKATU



Komisja Nagród I
Ogólnopolskiej Wy-
stawy Plakatu pod
przewodnictwem wi-
cemin. J. Wilczka

przyznała następujące nagro-
dy:

Pierwsze nagrody w wysoko-
ści po zł. 8000 przyzna-
no: H. Tomaszewskiemu, T.
Trepkowskiemu, W. Fangoro-
wi.

Drugie nagrody w wysoko-
ści po zł. 6000 — J. Mroszcza-
kowi, W. Zakrzewskiemu, T.
Gronowskiemu.

Trzecie nagrody w wysoko-
ści po zł. 4000 — L. Jagodziń-
skiemu, E. Lipińskiemu, W.
Borowczykowi, J. Tarasinowi.

Poza tym przyznano 9 wy-
różnień po zł. 2000, które
otrzymali: W. Chmielewski,
B. Dutkowski, W. Górski, J.
Karolak, Z. Lengren, J. Len-
nica, O. Siemaszkowa, J. Sro-
kowski, I. Witz, W. Zamecz-
nik.

CIEKAWA WYSTAWA
HISTORYCZNA

Staraniem Muzeum Historycz-
nego miasta Krakowa otwarta
została w średniowiecznych ba-
sztach i murach floriańskich przy
ulicy Pijarskiej wystawa
historyczna dawnych warowni
Krakowa. Wystawa ta, która w
ubiegłych latach cieszyła się
dużą frekwencją, została obec-
nie opracowana na nowo i po-
większona. Obejmuje ona re-
konstrukcje malarzy i wszyst-
kich zbliżonych b-szt i b am
miejskich, oryginalne widki
fortyfikacji wykonane przez
malarzy z pierwszej połowy u-
biegłego stulecia, a przede
wszystkim mnóstwo rzadkich
okazów dawnej broni jeszcze z
czasów Średniowiecza.

WYSTAWA STARYCH
STROJÓW

W Muzeum Narodowym w
Krakowie otwarta wystawa pt.
„Ubiory w dawnych wiekach,
jako wytwór sztuki i rekonstruk-
cja”. Zgromadzone ponad 600
eksponatów w postaci ubiorów,
fotografii, rysunków i t.p. Tka-
niny ręcznie malowane przez
anonimowych artystów mówią
o wysokim kursie dawnych
rzemieślników. Wystawa zawie-
ra także wiele pięknych kor-
nek, dawnych haftów oraz wy-
szywanych złotych i kamieniemi
czerechów kobiecych z XVII,
XVIII i XIX wieku.

Muzyce

SUKCES MUZYKÓW
POLSKICH W PRADZE



W tych dniach po-
wróciła do kraju
grupa muzyków pol-
skich, którzy brali
udział w Międzyna-
rodowym Festiwalu Muzycz-
nym „Praskie Jaro” w Pradze.

Artyści polscy odnieśli na
Festiwalu duże sukcesy. Prof.
Bierdiajew dyrygował z wiel-
kim powodzeniem operą „Hal-
ka” Stanisława Moniuszki oraz
koncertem symfonicznym, w
którym jako solistka wystąpiła
Wanda Wilkomirska.

W. Wilkomirska i W. Kedra
dali ponadto szereg koncertów
w Bratysławie, Zylinie i in-
nych miastach Słowacji, wszę-
dzie gorąco i serdecznie przy-
jmowani.

W zorganizowanym w ra-
mach Festiwalu Międzynaro-
dowym konkursie na instrumen-
ty dęte im. A. Rejchy, w któ-
rym wzięło udział ponad 55 u-
czestników z 10 krajów, trzecią
nagrodę otrzymał polski obcok-
ta Andrzej Męzel. Czwartą
miejsce w klasie klarnetów
zajął fagocista Kazimierz Piv-
kowski, który ponadto otrzymał
dyplom uznania za stylowe wy-
konanie utworów.

PREMIERA OPERY
„BOHDAN CHMIELNICKI”

Jak podaje pismo radzieckie
„Sowietskoe Iskusstwo” wy-
stawiono na zakończenie sezo-
nu w Kijowie w Państwowym
Akademickim Teatrze Opery i
Baletu w nowej redakcji ope-
rę „Bohdan Chmielnicki” K.
Dankiewiczą wg libretta Wan-
cy Wasilewskiej i A. Korniej-
czuka.

Reżyserem opery był M. Kru-
szelnicki. W rolach głównych
wystąpili: M. Griszko, W. Bo-
riszczenko, M. Romienki i inni.

teatrze

JUBILEUSZOWE
PRZEDSTAWIENIE
EMILII GALOTTI



W lipcu mija 100
lat od dnia uro-
dzin wielkiej artyst-
ki rosyjskiej Marii
Nikołajewny Jer-
mołowej, z nazwiskiem któ-
rej wiąże się wiele wydarzeń
w historii Teatru Małego w
Moskwie. W bieżącym roku
minęło również 25 lat od dnia
śmierci Jermołowej. W celu
uczczenia tych dwu lat zespół
Teatru Małego przystąpił do
prac nad wystawieniem „Emi-
lii Galotti” Lessinga. Właś-
nie w tej sztuce przed 83 laty
zabysł w pełni talent Jermo-
łowej, wówczas 17 letniej absol-
wentki szkoły teatralnej.

Jubileuszowe przedstawienie
reżyseruje W. Cygankow. W ro-
li Emilii występują: K. Ro-
jek, T. Jermiejewa i E. Flan-
skaia. W pozostałych rolach
wzięli udział artyści Teatru
Małego.

W TEATRACH
BUKARESZTEŃSKICH

W Bukareszcie dużym po-
wodzeniem cieszy się sztuka
A. Rogera „Martin Rogers od-
krywa Amerykę”. Rzecz dzie-
je się wokół sprawy sądowej
wytoczonej prz. z rząd U.S.A.
przecw obywatelowi amery-
kańskiemu, który zorientowa-
ny się w międzynarodowej po-
lityce staje w szeregach armii
pokoju.

Akcja sztuki toczy się w
USA i Zachodnich Niemczech.
Przed widzami przesuwa się
cała galeria postaci: bankier-
zy, przemysłowcy, uczeni,
dziennikarze, robotnicy. Czło-
wymi bohaterami sztuki są:
młody Amerykanin — Martin
Rogers i radziecki major So-
kołow. Związa'a ich szczerą
przyjaźń zrodzona podczas
spotkania nad Łabą. W roli
Rogersa występuje K. Barbu-
lesku. Według zdania kryty-
ków bukareszteńskich artysta
ten potrafił wnikliwie i prze-
konująco przedstawić Ame-
rykanina — uciewigo i od-
ważnego człowieka, prawdzi-
wie oddanego sprawie pokoju,
swobody i sprawiedliwości na
świecie.

filmie

„DOMEK Z KART” NA
EKRANIE



Świetna sztuka E.
Zegadłowicza „Do-
mek z kart” wysta-
wiona w Teatrze
Współczesnym w
Warszawie zostanie utrwalona
na filmie. Film zrealizowany
będzie w ciągu pięciu miesięcy
w tej samej obsadzie, w jakiej
grana jest w warszawskim te-
atrze. Realizatorami będą: re-
żyserowie — Erwin Axer i Sta-
niław Wohl, zdjęcia — And-
rzej Ancuta, kierownik pro-
dukcji — Zygmunt Kniazio-
luki.

FILM O STARÓWCE

Historia budowy najpiękniej-
szej dzielnicy Warszawy, Star-
ego Miasta, to treść nowego
filmu dokumentalnego realizo-
wanego w najbliższej przysz-
łości. Film ten składać się będzie

z dwóch części obrazujących
zniszczenie i wspaniałą odbudo-
wę cennych zabytków przesz-
łości. Realizatorem i autorem cie-
kawego w kompozycji scenariusza
jest Jerzy Bossak.

wszystkim

ROCZNICA ŚMIERCI
JANKI KUPAŁY

Ludność Białoruskiej SRR
obchodziła niedawno 11 rocz-
nicę śmierci poety ludowego
RSRR — Janki Kupały. W
Mińsku oraz w wielu miast-
tach otwarto wystawy obrazu-
jące życie i twórczość poety.
Odbły się również wieczory
literackie, odczyty i pogadanki
o twórczości Kupały. Wielu
wycieczek zwiedziło muzeum li-
teratury im. Janki Kupały w
Mińsku oraz wieś Wiazynki,
gdzie urodził się poeta.

SESJA NAUKOWA
POŚWIECONA M.
NIEKRASOWI

W dn. 7 lipca w gmachu in-
stytutu Polsko-Radzieckiego od-
była się sesja naukowa po-
święcona twórczości wybitne-
go poety rosyjskiego Mikołaja
Niekrasowa — w związku z
75 rocznicą jego śmierci.

Na sesję przybyli: członek
Rady Państwa, wiceprzewodni-
czący Zarz. Gł. Tow. Przyjaź-
ni Polsko-Radzieckiej — Ste-
fan Matuszewski oraz liczni
przedstawiciele świata nauko-
wego i artystycznego stolicy.
Obecny był również sekretarz
ambasady ZSRR — J. Safi-
row.

WYSTAWA „BUDOWA
SOCJALIZMU W POLSCE”
W KANTONIE

Dnia 4 lipca w Kantonie zo-
stała otwarta wystawa pod
tytułem „Budowa socjalizmu
w Polsce”. Wystawę tę zorgani-
zowała ambasada PRL w Chi-

nach. Na otwarciu jej obecni
byli między innymi przewodni-
czący Komitetu Kultury i Os-
wiaty — Czung Ming, wicedy-
rektor biura do spraw kultury
Ting, oraz pierwszy sekre-
tarz ambasady PRL — J. Go-
ra.

WIZYTA WYBITNEGO
CHOREOGRAFA
RADZIECKIEGO
W WARSZAWIE

W ramach wymiany kultural-
nej polsko-radzieckiej przybył
do Warszawy na zaproszenie
Ministerstwa Kultury i Sztu-
ki wybitny choreograf ra-
dziecki Aleksy Zukow, artysta
Teatru Wiekiego w Moskwie i
profesor szkoły baletowej przy
tym teatrze.

Gość radziecki weźmie udział
w konferencji szkół choreogra-
ficznych. Przewidziane są róż-
nicie spotkania z przedstawicie-
lami polskiej sztuki i szkolnic-
wa baletowego.

KONKURS RECYTATORSKI
UTWORÓW
MAJAKOWSKIEGO

W Związku Pisarzy Radziec-
kich odbyło się posiedzenie
komitetu obchodu 60 rocznicy
urodzin Włodzimierza Maja-
kowskiego. W ramach obchodu
odbędą się w miastach i
wsiach radzieckich wieczory
odczytów i wykładów, poświęcone ży-
ciu i działalności znakomitego
poety, piewcy rewolucji. Obec-
nie trwa konkurs recytatorski
na najlepsze wykonanie utwo-
rów Majakowskiego.

PALENIE DZIEŁ
EINSTEINA I T. MANNA

Z bibliotek Stanów Zjedno-
czonych usuwają obecnie wiele
książek postępowych uznanych
jako komunistyczne. W niektó-
rych stanach polecenie senato-
ra Mac Carthya realizuje się
tak gorliwie, że usuwane są z
księgozbiorów nie tylko etuda
rewolucyjna Chopina, ale dzie-
ła słynnego uczonego amerykań-
skiego Einsteina „Teoria wzglę-
dności” i powieści Tomasza
Manna, autora „Czarodziej-
skiej Góry”.

Staromiejska przechadzka



ZIEN jest lipcowy, gorący i rozległy jak samo wnętrze
lata. Stoimy pod smukłym masztem Kolumny Zyg-
munt. Dokoła, pod jasnym, dyszącym epokotą nie-
bem, rozciąga się Warszawa, równie rozległa i doj-
rzewająca jak ogromny lan zboża.

Przed nami, za kamienną balustradą, biegnie linia
wstęga trasy, dalej czerwienią dachy Mariensztatu, rysuje się brzeg
wiślany, wreszcie sama Wisła, szara jak metal, pokrośzona smugami
dymów, które wloką za sobą płynące po niej statki.

Za nami odebrane śmieci Stare Miasto. Nie można się dłużej
wahać. Taki czas aż zaprasza na krótki spacer. Chodźmy.

Nie będziemy szukali przewodnika, nie trzeba nikogo pytać o
historię, o daty, o nazwy ulic i domów. Dziś wystarczy nam,
jeśli powiemy sobie trochę bez celu i bez planu.

Wchodzimy w wąwóz ulicy Piwnej. Wchodzimy w inny świat,
jakbyśmy weszli w dalekie, już zapomniane lata. Po obu stronach
wznieśli się kamieniczki trzępcą rozwartymi skrzydłami okien.
Bramy ukazują głębokie perspektywy podwórek, sieni i wąskich
przejść. Wiele z nich milim chłodem i zapachem wapna. Powie-
trze zaróżowione od pyłu cegieł dudni i szumi w tej uliczce, jak
w muszli. Nie łatwo jest posuwać się wśród płatwiśka sznurów,
drułów, desek i stasów cegieł, wśród zwinnego pośpiechu robot-
ników, wśród wozów nalożonych materiałem.

Stare Miasto powraca właśnie do swego dawnego kształtu. Od
celu dzieli go ledwie parę kroków. I właśnie mamy okazję przy-
chwycić Starówkę w tej ostatniej tajemniczej chwili jej zup-
nych narodzin.

O to Rynek, niby wnętrze kosztownego pudra, którego ściany
wzłożono cennymi ozdobami. Jeszcze niektóre z domów ukryte w
osnowie rusztowań, jeszcze trwa chaos desek, przewodów i lin —
ale poprzez tę sieć już promieniaje niezwykły urok miasta.

Proszę, nie lekajmy się zwykłych słów, powiedzmy głośno: Stare
Miasto jest piękne, to wszystko.



Ięc idziemy: uliczki zaprowadza nas do innych uliczek.
Pochylnymi chodnikami dojdziemy do nieoczekiwanych
perspektyw, za narożnikami ukaza się nam ma-
łe place albo zaułki urocze jak dzieła sztuki. Przemie-
rzymy Wąski i Szeroki Dunaj, wejździemy na Święto-
jerską, na Freta, znów wrócimy do Piwnej, znów przy-
stanemy na Rynku. A teraz podejździemy do Katedry. Jest inna od
poprzedniej, zniszczonej do szczeru, prosiąca i lotniejsza. Jest wysoki

fronton rysuje się na obłokach jak trójkąt światła albo jak różowy
żagiel płynący w stronę nieba. A tutaj, koło kościoła Jezuitów przy-
sładamy na jakimś kamieniu i posuchajmy: nad Starym Mi-
astem unosi się gwar. Tworzą go postukiwanie młotów, skrzyplenie
dźwignów, głosy ludzkie, nawołujące donośnie, świergot pta-
ctwa, piosenki, które nieustannie roznoszą głośniki. Ale słychać
jeszcze i ciszę ukrytą w załamach murów, śpiącą na białych po-
dworkach, ciszę, która czeka, aby rozciągnąć nad tą dzielnicą swój
melodyjny płaszcz — już jutro, kiedy opadną ostatnie rusztowa-
nia, kiedy w oknach powleją białe firanki i wychyli się z nich
kolorowe głowy pelargonii, a wieczorami zamigocą świetliki sta-
rowieckich latarni. Wtedy cisza zanuci najładniejszą piosenkę
o Starym Mieście.

Ale teraz jeszcze rozbrzmiewa tu głośno muzyka ludzkiej pracy.
I niesie się nad miastem niby brzęczenie pasteki.

Proszę, spójrzcie na ten dom przed nami. Na wszystkich kon-
dygnacjach rusztowania stoją artyści. Pędzłem nakładają zielenia,
szpacją zdejmują ciostrośnie warstwy tynku, aby odsłonić inną le-
goc barwę. Pracują w skupieniu i tak uważnie, jakby barwili
skrzydła motylom.

ZAWSZE warto powtórzyć zdania, choćby najbardziej
utarte, jeśli są tak prawdziwe. Powiedzmy je więc:
Wielkie jest piękno twórczej pracy ludzkiej. Spójrzcie
na to okno. Właśnie dwóch ludzi wprawia w nie ażu-
rową kratę, wytworną jak koronka. Jak uroczo zza tej
kraty będzie migła świeca płonąca na biurku i jak
urzekająco popłyna, zza niej dźwięki szopenowskiego nocturnu. I je-
szcze spójrzmy w górę. Widać niebo wysokie na nim lotne obłoki, na
nich miśknie, już wieczerniejące światło — niżej eskadra gołębi, zwia-
stunów pokoju — zatacza krag i znika za narożną ścianą a szczyty
kamieniczek rysują na niebie kapryśny profil. Powiedzcie, jaką
radość niesie człowiekowi spojrzenie rzucone w takie właśnie nie-
bo, ile sił i ufności zaczerpnąć można z przechadzki. I nim odej-
dziemy, podziękujemy choćby w myśl tylko wszystkim budownic-
zym, robotnikom, artystom, zapalcom i twórcom, wszystkim
ludziom, którzy dla nas odtworzyli tę dzielnicę. Niech uwierzą,
że nasza wdzięczność nie jest zdawkowa i ulotna, tak jak nie są
złudzeniem domy, które tu stoją.

Ale teraz już wracajmy. Czeką nas radości nowych powrotów
na Stare Miasto.

